MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 24 WARSZAWA, 5 CZERWCA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

GERMANIE NA SZLAKU BAŁKAŃSKIM

KIEDY w listopadzie 1920 r. ówczesny rumuński minister spraw zagranicznych, p. Take Jonescu przybył do Polski, już wtedy poruszał sprawę może nie przystąpienia Polski do Małej Ententy, ale udziału jej w utworzeniu Małej Ententy, który to plan bez uczestnictwa Polski doszedł do skutku w r. 1923.

Wówczas prasa—nie po raz pierwszy i ostatni zresztą — szeroko rozpisywała się o konieczności obudzenia na szlaku od Bałtyku po Morze Czarne twórczej pracy gospodarczej, o pięknej perspektywie uniezależnienia Europy środkowo-wschodniej od postronnych wpływów ekonomicznych, a przedewszystkiem niemieckich. Niezadługo minie 18 lat od owej warszawskiej wizyty rumuńskiego dyplomaty, która wzbudziła wspomniane plany, zmierzające do stworzenia na gruzach wojennej gospodarki nowego, niezależnego życia gospodarczego. Niewielki to szmat czasu, a jednak — ileż przyniósł zmian, ileż rozczarowań!

Jeśli z perspektywy dzisiejszej spojrzymy na ten okres, to stwierdzić musimy, że było w nim wiele marzeń i zmyślenia, tego, co Niemiec nazywa „*Dichtung*", w przeciwieństwie do torującej sobie przez mgły omamień rzeczywistości — „*Wahrheit*". Znaczenie Małej Ententy równa się prawie zeru, a przyczyny jej bankructwa są tylko odpryskiem kryzysu stworzonego przez masonerię w systemie Ligi Narodów, którego jest niewydarzonym dziecięciem. Twórcy jej, a głównie Czesi, żyli w obawie przed widmem powrotu Habsburgów, drżąc, iż jeśliby ród ten zasiadł znowu na „*Burgu*" wiedeńskim, to zbudzi z martwych ducha starej monarchii z jej tradycjami w basenie Dunaju i na Bałkanach. Obawiano się lisa, a nie zauważono wilka. Habsburgowie — Zyta, Otto i jego rodzeństwo — prześnili swój sen z bajki, a tymczasem przyszedł kto inny, co stanął na ich miejscu, zatrząsł systemem politycznym Europy środkowo-wschodniej i podjął cele polityki habsburskiej z okresu, gdy dom ten stał na czele Pierwszej Rzeszy, której — rzecz inna — cios śmiertelny zadały armie Napoleona I. Przyszła Rzesza Trzecia, powiększona o Austrię i tym samym o 100 kilometrów zbliżona do Bałkanów.

A plany gospodarcze? Nic prawie nie wyszło z owych dziennikarskich marzeń, które snuto w czasie pobytu w Polsce ministra Take Jonescu. Były to w ówczesnych warunkach marzenia „ściętej głowy", bo zasoby materialne oraz sytuacja gospodarcza i polityczna Polski oraz poszczególnych Państw Europy środkowo-wschodniej nie stanowiły należytej podstawy do realizacji szerokich koncepcyj ekonomiczno-politycznych, wymagających olbrzymich inwestycyj, nakładu kapitałów i wytrwałej, celowej pracy dyplomaty i kupca. Czas zaś pracował przeciw tym koncepcjom.

Przez lat 10 po zakończeniu światowej wojny wielką rolę w handlu Europy środkowo-wschodniej i Bałkanów odgrywała Francja. Potem warunki się zmieniły. Przyszedł konkurent w postaci... Niemiec, które ruszyły ku dawno planowanym szlakom swej ekspansji gospodarczej, pobudzone zresztą ku temu nie tylko żądzą zbytu wytworów swego przemysłu, ale także w poszukiwaniu surowców — jakże aktualnem w położeniu Niemiec! Ku realizacji tych celów zastosowano cały system stworzony w sposób umiejętny i bezwzględny zarazem przez dra Schachta. Branie surowców na kredyt, a zapłata — w towarze! Taka metoda gwarantowała rodzaj niewoli gospodarczej „klientów", której podstawą stał się przymus kupna niemieckiego produktu wzamian za nabyty surowiec. Rezultat tej polityki jest znany. Niemcy odgrywają dominującą rolę w handlu Europy środkowo-wschodniej, szczególnie zaś teraz, po „*Anschlussie*".

Jak rzecz ta wygląda w cyfrach, obrazuje dodatek „*Breslauer Neueste Nachrichten*", poświęcony odbytym w maju Targom Wrocławskim, których pozycja zwraca się w kierunku ekspansji handlowej Niemiec na europejskie dziedziny środ-

kowo-wschodnię. I tak udział Niemiec w handlu zagranicznym Bułgarii wynosił w 1937 r. 50 pct, Turcji 40 pct, Jugosławii 30 pct, Grecji 30 pct, Węgier 27 pct, Rumunii 24 pct, a Czechosłowacji 14 pct. Wyraźnie decydującą rolę grają Niemcy (razem z Austrią), jako importer z szeregu krajów Europy południowo-wschodniej, gdyż na ich obszar szło dotąd 35 pct ogólnego wywozu Jugosławii, prawie 45 pct wywozu Węgier, 25 pct Rumunii i 30 pct Grecji. Cyfry te dostatecznie ilustrują stopień ekonomicznej zależności Europy środkowo-wschodniej od Niemiec — wbrew pewnym dawnym teoretycznym nadziejom i marzeniom.

Pisaliśmy przed kilku tygodniami na łamach „Myśli Narodowej", jaką rolę w krajach Europy środkowo-wschodniej spełniają mniejszości niemieckie, z których 5 na 6 milionów przyznaje się do narodowego socjalizmu, tworząc w ten sposób faktorie niemieckiego imperializmu na tych obszarach. Dalszymi ogniwami w łańcuchu owych imperialistycznych działań germańskich są faktorie handlowe oraz agenci i komiwojażerowie niemieccy, od których roi się w krajach nad Dunajem i wzdłuż trasy Orient-Expressu, od Belgradu, przez Sofię do Konstantynopola. Teraz znów w Niemczech projektuje się przeprowadzenie nowych połączeń wodnych, mających stworzyć możliwość bezpośredniego przewozu pomiędzy Morzem Północnym oraz Morzem Bałtyckim, a Morzem Czarnym. Ten szlak wodny — którego klucz znalazłby się w ręku Niemiec — ma połączyć północną i północno-zachodnią Europę z południowo-wschodnimi krańcami kontynentu. Nowe, potężne narzędzie ekspansji niemieckiej ku południowemu wschodowi!

I czy ktoś — pytamy — może się łudzić, że ten łańcuch nie ciągnie niemieckiego wozu politycznego? Nie chcemy upraszczać zagadnienia! Prawda, że w Europie południowo-wschodniej krzyżują się wpływy i zamiary niemieckie z włoskimi i trudno przewidzieć, jak długo wytrzyma próbę życia kompromis zawarty w tej sprawie między Hitlerem i Mussolinim w czasie ostatniej parady rzymskiej. Prawda, że Francja nie tak łatwo zrezygnuje z terenów swoich interesów przez długie lata i będzie je usiłowała przy sprzyjającej koniunkturze odzyskać. Prawda, że u krańców szlaku ekspansji niemieckiej, nad cieśniną Dardanelską, leży jeden z najczulszych punktów polityki światowej, który w ogromnym stopniu animuje Anglię i Rosję. Prawda wreszcie, że państwa Europy południowo-wschodniej nie zapomną o budowaniu granic, których przekroczenie przez niemieckie zakusy i działania groziłoby samej istocie ich samodzielności.

Wszystko to jest bezsporne i nie wyczerpuje listy przeszkód na drodze imperializmu germańskiego ku południowemu wschodowi. Wszakże zjednoczone Niemcy, podobnie jak same stają wobec szeregu nowych warunków, tak i wywołują poza sobą widoki polityczne — nowe dziś, ale nie bez przykładów w dziejach. Z uwagi właśnie na nie trzeba nam znać rzeczywistość z każdej strony.

Nie wyczerpaliśmy naturalnie zagadnienia, boć jest ono obszerne i zawiłe. Należy w nie jednak wnikać jak najczęściej i jak najdokładniej. Wszakże losy Europy południowo-wschodniej obchodzą bezpośrednio Polskę która przecież w dobie Jagiellońskiej zbudowała m. in. przez swą aktywność na jej obszarach swą pierwszorzędną potęgę.

Poznań STANISŁAW TABACZYŃSKI

MŁODOŚĆ ROMANA DMOWSKIEGO

(Odczyt wygłoszony dnia 20 lutego 1838 r. w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego na Akademii Młodzieży Wszechpolskiej dla uczczenia jej piętnastoletniej działalności). (Dokończenie)

II

TO NOWE jego życie płynęło teraz trzema głównemi strumieniami. Pierwszym były studia przyrodnicze, szczególnie biologia i zoologia. Po czterech latach zdał świetnie egzamina i po złożeniu rozprawy otrzymał stopień kandydata; rozprawa miała tytuł: „Studia nad wymoczkami. O kilku wymoczkach z rzędu Holotricha", i była napisana oczywiście po rosyjsku. I tu warto wtrącić jeden znamienny dla Dmowskiego szczegół. Ani głębia jego myśli, ani jego pogląd na życie, jako na coś bardzo poważnego, nigdy mu nie przeszkadzały i do dziś dnia nie przeszkadzają do folgowania swej przyrodzonej wesołości i swemu humorowi — mało jest ludzi, którzyby tak lubili różnorodne dowcipy i kocepty. Otóż swoją rozprawę rosyjską umyślnie naszpikował tak strasznymi polonizmami, że profesor języka rosyjskiego, osławiony Sergiusz Kułakowski, który z urzędu musiał czytywać wszystkie rozprawy kandydackie, z trudem się zgodził na przyjęcie rozprawy pomimo nader pochlebnej oceny specjalistów. Skończyło się na ocenie „dostatecznie". Dodajmy, że w rok po ukończeniu uniwersytetu ogłosił Dmowski swą rozprawę drukiem oczywiście po polsku w „Pamiętniku Fizjograficznym".

Obok studiów uniwersyteckich — lektura książek z dziedziny tak modnej wśród owoczesnych studentów warszawskich socjologii, zwłaszcza badań nad pierwotnymi dziejami rodzaju ludzkiego; „Początki rodziny" Giraud Teulona, „Społeczeństwo pierwotne" Lewisa Morgana, „Początki cywilizacji" Johna Wilhelma Lubbocka, nie mówiąc już o „Socjologii" i innych pismach filozoficznych Herberta Spencera, — były dla nas chlebem powszednim, na równi z dziełami Darwina. Tylko że tutaj niechaj wolno będzie raz jeszcze powiedzieć, — Dmowski dużo czytał, ale dużo jeszcze więcej myślał, co się też odbiło na jego wspaniałym czole.

Wreszcie — strumień trzeci: działalność polityczna. Wkrótce po wstąpieniu Dmowskiego do uniwersytetu we wszystkich uniwersytetach, rosyjskich, szwajcarskich, francuskich i niemieckich, gdzie się tylko młodzież polska kształciła, powstały wśród niej — z ramienia ligi polskiej, na

której czele stał Teodor Tomasz Jeż — tajne organizacje; ich organizatorem był Zygmunt Balicki. Uniwersytet warszawski nie stanowił wyjątku: powstał w nim t.zw. Związek młodzieży, utworzony na gwałt z młodzieży narodowej i z rozbitków młodzieży socjalistycznej — po słynnym procesie „Proletariatu", który się zakończył powieszeniem w Warszawie pięciu członków (w ich liczbie jednego z moich kolegów — Sławińskiego). Dmowski wstąpił do Związku młodzieży, objął główne kierownictwo, — i natychmiast rozpoczął walkę z socjalistami, która się skończyła tym, że jedenastu socjalistów ze Związku wystąpiło. Było jeszcze inne stowarzyszenie napół tajne, t. zw. „Koło Delegatów", składające się z przedstawicieli kół regionalnych, to znaczy tych kół, w które się zrzeszali wychowańcy różnych gimnazjów w Królestwie. Otóż Związek młodzieży postanowił wytknąć kierunek zarówno tym kołom regionalnym, jak „Kołu Delegatów", — kierunek ściśle narodowy. Zaczęła się walka między dwoma obozami, bo w Kole Delegatów byli i socjaliści. Rozgorzała w roku 1890. Nie byłem już wówczas w uniwersytecie warszawskim, ukończyłem bowiem studia w r. 1888, ale odgłosy walki mnie dochodziły, albowiem brzmiała nimi cała Warszawa.

Rzecz była taka. W tym roku 1890, przed Wielkanocą, wybuchły rozruchy antyrządowe nasamprzód w Akademii Rolniczej w Moskwie, a tuż potem w uniwersytecie moskiewskim. Chciano je koniecznie rozszerzyć na wszystkie uniwersytety rosyjskie, nie wyłączając warszawskiego. Wysłano tedy do Warszawy delegata — Rosjanina; wzięli go pod swoją opiekę studenci-socjaliści i postanowili zorganizować rozruchy w Uniwersytecie. W tym celu zwołali tajne posiedzenie Koła Delegatów i przeprowadzili swój wniosek. Dmowski w tym posiedzeniu nie uczestniczył, nie był bowiem delegatem, tylko zastępcą delegata. Dowiedziawszy się, co zaszło i będąc śmiertelnym wrogiem solidaryzowania się z młodzieżą rosyjską, tego samego dnia jeszcze wezwał na posiedzenie Związek Młodzieży i zainterpelował tych związkowców, którzy należeli także do Koła Delegatów, jakim prawem i w jakim celu oświadczyli się za rozruchami. Usłyszał odpowiedź, że delegat rosyjski wygłosił wielką mowę, w której oznajmił, iż studenci rosyjscy wśród postulatów, jakie postawią Rządowi, będą się domagali spolszczenia uniwersytetu warszawskiego. Dmowski wiedział doskonale, że to fałsz, a w najlepszym razie gruszki na wierzbie i odezwał się mniej więcej w te słowa: „Postąpienie wasze jest występkiem organizacyjnym, bo Koło Delegatów nie miało prawa uchwalać rozruchów, więc powinniście być ukarani. Lecz obecnie nie ma czasu na sąd, trzeba myśleć, jak naprawić zło, któreście zrobili. Zwołajcie na jutro nowe posiedzenie na które i ja przyjdę, jako zastępca swego delegata z Koła gimnazjum III".

Nazajutrz rano zgromadziło się Koło Delegatów. Wstał Dmowski i zaproponował, żeby się Koło, które nie jest instytucją do organizowania czynów rewolucyjnych, natychmiast rozwiązało, i żeby się po rozwiązaniu zawiązało w nowe Koło, mianowicie... w „Komitet rozruchów na Uniwersytecie Warszawskim". Rozległy się szalone oklaski, zwłaszcza ze strony socjalistów. Wniosek Dmowskiego przeszedł prawie jednomyślnie; nie dosyć na tym: jego samego wybrano na przewodniczącego tego Komitetu. Wówczas wstał ponownie i oświadczył, że ze wszystkich sił będzie się starał, ażeby „Komitet rozruchów" nie dopuścił... do rozruchów. Usiadł i czekał, czy go nie wyrzucą za drzwi. Nastała cisza. Niektórzy delegaci kółek prowincjonalnych opuścili salę; Dmowski wybiegł za nimi do przedpokoju i prosił żeby wrócili. Zdziwienie było tak wielkie, że nie uchwalono nic. Dopiero wieczorem tegoż dnia, na posiedzeniu „Związku Młodzieży", socjalista Goldberg zażądał od Dmowskiego, żeby jasno powiedział, dokąd prowadzi jego polityka. Usłyszał odpowiedź: „Żeby nie było rozruchów". Wtedy Goldberg oświadczył, że nie może popierać tej chytrej polityki i prosił kolegów, aby zdecydowali przez głosowanie, czy wobec tego on, Goldberg, może pozostać w organizacji, czy też ma z niej wystąpić. Znaczną większością głosów oświadczono się za jego wystąpieniem. Goldberg wyszedł, poczym, jak opowiadał mi Dmowski (powtarzam dosłownie) „pozostali omal że nie zapłakali chóralnie — powstała jakaś histeryczna cisza". Nie uchwalono nic. Dopiero nazajutrz, na posiedzeniu „Komitetu rozruchów", socjaliści poprzednio porozumiawszy się z sobą, oświadczyli przez jednego ze swoich mówców, że „kiedy młodzież opanował święty ogień rewolucyjny, rozbiła ją na frakcje i frakcyjki chytra jezuicka ręka i stłumiła święty zapał. Zrywamy z tym zebraniem i idziemy urządzać rozruchy". Po czym opuścili salę, a Dmowski odezwał się: „Koledzy! proszę, abyście, każdy z kolei powstając, dali słowo honoru, że to, co zaraz powiem, nie wyjdzie poza mury tego lokalu". Co gdy się stało, mówił dalej,: „Zrobimy wszystko, co tylko będzie w naszej mocy, żeby tym, co przed chwilą wyszli, uniemożliwić organizowanie rozruchów. Jeśli jednak rozruchy będą i władza zastosuje do nich represje, my się za kolegów ujmiemy".

Do rozruchów jednak nie doszło, może nie tyle dzięki spokojnej odezwie młodzieży narodowej, zwalczającej gwałtowną odezwę młodzieży socjalistycznej, ile dzięki wakacjom wielkanocnym, bo owe zebrania odbyły się już na początku Wielkiego Tygodnia. Po wakacjach o rozruchach już prawie mowy nie było; większość studentów zrozumiała, że polskiej młodzieży groziły one daleko sroższymi represjami, aniżeli rosyjskiej. Dmowski zwyciężył — w tej pierwszej swojej wojnie politycznej.

W rok później, już po ukończeniu uniwersytetu Dmowski zainicjował i zorganizował wśród studentów uroczysty obchód setnej rocznicy Konstytucji 3 maja pod postacią wielkiego pochodu od ruin kaplicy w Ogrodzie Botanicznym do Katedry św. Jana. Na razie represji nie było; dopiero po kilku miesiącach zaczęły się śledztwa; Dmowskiego osadzono w Cytadeli. Odsiedziawszy karę, wyjechał na jesieni tegoż 1891 roku do Paryża. Bawił tu osiem miesięcy — i myślał, co robić dalej, czy poświęcić się nauce, mianowicie biologii, którą tak bardzo w uniwersytecie ukochał, czy polityce. Stanowczej decyzji nie powziął: żal mu było rozstawać się z nauką, ale poczucie odpowiedzialności wobec własnego sumienia i wobec swego narodu przemawiało za polityką. Decyzję ułatwił rząd rosyjski. W drodze powrotnej z Paryża Dmowski otrzymał z trzech stron ostrzeżenie, że na granicy będzie aresztowany i radę,

żeby nie wracał. Nie usłuchał — nie chciał za nic na świecie zostać emigrantem. Na stacji Granica aresztowano go — w pierwszych dniach sierpnia r. 1892, pod strażą przewieziono go do Warszawy i osadzono w Cytadeli. Więzienie trwało pięć miesięcy — i tutaj dopiero zapadła już stanowcza decyzja na korzyść polityki. Odtąd zawsze będzie mówił Dmowski i do dziś dnia mówi, że ten drugi pobyt w Cytadeli stanowi drugą epokę w jego życiu — właśnie dlatego, że zapadła decyzja. I mówi jeszcze, że w Cytadeli zrozumiał, czem jest dla człowieka klasztor.

Dnia 2 stycznia r. 1893 wypuszczono go na wolność, a raczej nie na wolność, bo go oddano pod dozór policyjny w Warszawie — aż do wydania wyroku. Wyrok zapadł dopiero po dziesięciu miesiącach, przygotowany przez żandarmerię warszawską, a podpisany przez cesarza: „Romanowi Dmowskiemu zalicza się pobyt w więzieniu jako kara za zorganizowanie manifestacji w dniu 3 maja r. 1891 i wydala się go z granic Kraju Nadwiślańskiego; nie wolno mu także przebywać ani w Kraju północno-zachodnim, ani w stolicach (t. j. w Petersburgu i w Moskwie), ani w guberniach stołecznych, ani w żadnem mieście uniwersyteckiem". Ten wyrok opiewał na lat trzy.

Za miejsce pobytu obrał sobie Dmowski Libawę, ale i tam go nie przyjęto ze względu, że był to port wojenny, osiadł tedy w Mitawie. Tutaj to zaczął obmyślać plan czasopisma politycznego — wszechpolskiego, t. j. dla wszystkich trzech zaborów. Uśmiechnęło mu się szczęście. Za decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych otrzymał pozwolenie przeniesienia się do Kremieńczuga w guberni połtawskiej z prawem zboczenia do Warszawy na trzy dni w sprawach rodzinnych. Jakoż przyjechał na trzy dni do Warszawy ale trzeciego dnia nie pojechał do Kremieńczuga, tylko uciekł do Lwowa. Było to w lutym r. 1895.

Od miesiąca wychodził we Lwowie „Dwutygodnik polityczny, społeczny i ekonomiczny" p. t. Przegląd Wszechpolski. Tutaj to zaczęły się ukazywać wnet po przybyciu Dmowskiego do Lwowa jego artykuły p. t. „Z całej Polski". A dn. 15 lipca tegoż roku ukazał sie zeszyt pierwszy podpisany przez niego, jako redaktora. To początek jego jawnej działalności politycznej — w trzydziestym roku życia. Skończyła się młodość — zaczął się wiek męski.

III

Mówi Mickiewicz:

Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski,
Polały się łzy me czyste, rzęsiste.

Dzieciństwo Dmowskiego nie było ani sielskie, ani anielskie, co nie przeszkadza zresztą, że wspomina je z serdeczną miłością. A młodość czy była górna? O, tak, bo przyświecała jej miłość nauki i Polski. Czy była jednocześnie „durna" — tak, jak ten wyraz pojmował Mickiewicz, t. j. pełna „szału" czyli entuzjazmu? Nie ulega najmniejszej wątpliwiwości, że tak, tylko że nie był to entuzjazm romantyczny, ale zrównoważony wciąż potężniejącą, zdumiewająco trzeźwą w młodym człowieku refleksją. Lecz i romantycznego entuzjazmu nigdy, ani w młodości, ani później nigdy Dmowski nie lekceważył. Oto jego własne słowa: „Zasady mierzenia zamiaru według sił, w istocie słusznej, bardzo łatwo nadużywać dla usprawiedliwienia lenistwa i braku odwagi. Tymczasem wielkie zamiary, wielkie cele, bardzo napozór przerastające siły, bywają przeważnie urzeczywistniane, jeżeli ci, co je sobie stawiają, wiedzą dobrze, do czego idą, i wszystkie swe siły ku jednemu zwrócą celowi. Wtedy siły rosną ponad oczekiwanie".

Niechaj wolno będzie nazwać te słowa Dmowskiego treścią jego własnego życia, od czasu, kiedy zaczął samodzielnie myśleć, pragnąć i działać, wszystkie swe siły ku jednemu zwracając celowi — ku odrodzeniu Polski. I siły rosły mu ponad oczekiwanie. I dlatego jego wiek męski był nie wiekiem klęski, tylko wiekiem zwycięstwa. Tak! Zwycięstwem było zwalczanie trójlojalizmu i uświadamianie narodu, że pomimo trzech zaborów, jest wszechpolski, to znaczy jeden; zwycięstwem były „Myśli nowoczesnego Polaka", będące koroną naszej porozbiorowej literatury politycznej, zwycięstwem było zbudzenie w narodzie wiary, że się zbliża chwila, kiedy niepodległość odzyska; zwycięstwem była praca jego rozumu politycznego podczas wojny, praca, która się uwieńczyła odbudowaniem Polski na kongresie wersalskim.

Czy jego praca powojenna nad narodem polskim będzie także zwycięstwem? To już nie od niego zależy, ale od pracy młodszego i najmłodszego pokolenia, które on wychował. Niechże ono tę ideę narodową, którą on wysnuł ze swej wielkiej głowy i ze swego gorącego serca, ukocha i pielęgnuje tak, jak on ją do dziś dnia kocha i pielęgnuje!

I niechaj to młodsze i najmłodsze pokolenie którego kwiatem jesteście Wy, młodzież uniwersytecka, pełni tę pracę tak, jak on ją pełnił i pełni, to znaczy niech ją poczytuje nie za zasługę, tylko za święty obowiązek wobec Ojczyzny.

I w tej pracy — szczęść Wam, Boże!

Kraków IGNACY CHRZANOWSKI

JEDNOSTKI I INSTYTUCJE

ZNANY historyk francuski, członek Akademii francuskiej, Louis Madelin, w swojej *„La revolution française"*, pomimo ostrej krytyki jej ekscesów i jej zasad, oświadcza w konkluzji, że ten przewrót wydobył energię z narodu, był aktem ujawniającym siły żywotne Francji i z tego powodu można mieć dla niego uznanie. Madelin jest w gruncie rzeczy bonapartystą, jak o tem świadczy szereg jego mniejszych i większych studiów o Konsulacie i Cesarstwie. Zwolennicy „silnych rządów", porządkowujących i stabilizujących dzięki ujęciu władzy przez jednostki, którym przypisuje się nadludzkie prawie uzdolnienia, nie są jednak dobrymi nauczycielami. Użyteczność pojawienia się jednostki lub ustroju, dzięki któremu następuje mobilizacja energii jest pod znakiem zapytania, gdyż rzeczywista użyteczność nie polega na wydobyciu energii, lecz na skorzystaniu z niej. Jednostki, które przybierając kształty gigantów koncentrują przy sobie i pod swymi rozkazami energię narodu muszą służyć narodowi pojętemu jako jedność pokoleń na przestrzeni wieków, a nie sobie ani popularnym w danej chwili hasłom. Wyzyskanie energii nagromadzonej nie powinno być kierowane w celu stworzenia epizodu w życiu narodu; gorzej jest jeszcze, gdy rządzący, uruchomiwszy zapasy niestworzenej przez siebie energii, starają się przy jej pomocy uczynić z epizodów epoki.

W. rewolucja zwana dotąd „francuską", choć jej źródła nie we Francji się znajdowały a skutki Francji zaszkodziły, mogła wydawać się w okresie swego wrzenia, i, dla zagranicy, w szczególności w okresie swego imperializmu, narzędziem, dzięki któremu rosły wpływy Francji; jeszcze w 1830 i w 1848 roku było to zdanie bardzo rozpowszechnione. Jednak realny polityk, Bismark, sprzyjając ustaleniu się we Francji III-ej republiki, bezpośredniej dziedziczki ideałów wielkorewolucyjnych, rozumiał, że przez to zmniejszy Francję, bo oderwie ją od zasad, które ją stworzyły i przez setki lat prowadziły do wielkości.

W. rewolucja i następne rewolucje, wydobywając energie stworzene przez *ancien règime*, przywiązały Francję do epizodu, do tego co powinno zostać tylko epizodem. Madelin, podobnie jak Barrés, który chciał, żeby młodzi francuzi uczyli się patriotyzmu przy grobie Wielkiego cesarza, jest zwolennikiem ekstensywnego wyczerpania energii w imię krótkiego okresu historycznego nazwanego imieniem jednego człowieka i dlatego właśnie wykolejającego losy narodu, bo przywiązującego te losy do jednego ludzkiego życia. Hitler, jako jednostka, która wydobyła, skoncentrowała i rozpaliła energie narodu niemieckiego, zajął osobiście zbyt dużą, sprzeczną z normalnym tokiem dziejów, pozycję, ale jego rola jest dla Niemiec zasadniczo różna od roli Napoleona I wobec Francji. Hitler wyszedł z szarej masy i Niemcom i tylko Niemcom stara się służyć; jest on w bezpośrednim kontakcie z milionami swoich rodaków i ma obmyślany plan wpływów na młode pokolenia. Jednak z punktu widzenia *sub specie aeternitatis* trzeba się negatywnie odnieść do myśli, aby każde pokolenie miało prawo albo możność, albo uważało za swą ambicję wydawanie z siebie swojego „wodza" — nadczłowieka i dawanie państwu swoich emblematów i swoich hymnów. Choć taki „wódz" jak Hitler naród swój kocha, szanuje, nie obraża go zuchwałymi zarzutami, choć zbiera owoce prac dawno zaczętych, jednak zbyt wielka jego osobista pozycja każe ruchowi narodowo-sojalistycznemu wiele prawdziwie wielkich dla Niemiec wydarzeń i postaci dziejowych niesprawiedliwie obniżać, okresy całe historyczne przekreślać lub stronnie komentować: w celu historycznego wyjaśnienia *„Fuehrertum'u"* propagandziści III-ej Rrzeszy cofają się aż do legendarnego początku średniowiecza.

Od wyczerpującego i wykolejającego energię narodową porywu związanego z kultem domniemanych półbogów, którzy chcą stabilizować wybuch, epizod i z rewolucji *tout court* zrobić *la rèvolution larvèe* (rozłożoną na raty), różni się zasadniczo ustrój, który utrzymuje energię narodu w stanie potencjalnym strzegąc przed uruchomieniem jej. Taki ustrój zachowujący strategię ogólną istniał w Chinach i Japonii do połowy zeszłego wieku. Dobrze się stało dla Japonii, że zdołała ona przejść z tego ustroju do form rozumnie energię wydzielających i zużytkowujących przy jednoczesnym dalszym jej wytwarzaniu; gorzej, wiele gorzej urządziły się Chiny, które znalazły proroka nowych czasów w osobie Sun-jat-sena i przeszły odrazu w stan gorączki, w okres poszukiwania wielkich ludzi, dzięki czemu historia Chin stała się po upadku cesarstwa historią marszałków i generałów.

Trzeba odnieść się z uznaniem do takiego ustroju, do takiego ustosunkowania elementów politycznych, gospodarczych i społecznych, dzięki któremu jest trwała, uporządkowana wydajność energii narodowej i państwowej. Twórcze zużytkowanie sił narodu, nie bezpłodne ich spalanie w chwili szału, pozwala na utrzymanie i rozwój źródeł tej siły. Przez setki lat ,począwszy od wczesnego średniowiecza, konstatuje się ciągły pochód wzwyż aż do katastrofy wielkorewolucyjnej. Historycy, publicyści i politycy francuscy (w naszych czasach Funk-Brentano i Cochin, nacjonaliści z *„Action Française"*, Tardieu) wykazują, że z punktu widzenia materialnego (podniesienia dobrobytu powszechnego) rewolucja ta była niepotrzebna a z punktu widzenia moralnego i narodowego zabójcza. Dlaczego przez długie wieki, i nietylko we Francji, była ciągłość cywilizacyjna i nieustanne prawie podnoszenie się? Dlatego, że korzystano z dziedzictwa, że nie chciano co ćwierć wieku, z każdym nowym dojrzałym pokoleniem, zaczynać wszystko od początku. Jak się świetnie i ściśle wyraża Tardieu w *„Le souverain captif"*, w roku 1789 zamknięto księgę historii tradycjonalistycznej i otwarto księgę dziejów racjonalistycznych, a dokonała tego olbrzymia pycha wzywająca ludzkość do niszczenia. Przewroty, zachodzące w Europie i w Ameryce od końca XVIII-go wieku, dokonane zostały wbrew zdaniu mas przez godzące się z użyciem wszelkich środków mniejszości; dopiero stopniowo obce i osuszające źródła energii narodowej siły wsiąkały w masy i uczyniły ich automatami demokracji, jak to podkreśla Tardieu w wyżej wskazanej książce, w której znajdujemy

także następujące znakomite stwierdzenie: „Przeszłość jest rzeczą wielką, wiele wcześniejszą i wyższą od niedawnych wynalazków nowoczesnej cywilizacji. Ludzkość złożona więcej ze zmarłych niż z żywych jest w niebezpieczeństwie, gdy zapomina o swoich zmarłych. U podstaw dzisiejszej Europy są tradycje głębsze i bardziej twórcze od praw człowieka i telefonu. Nie rozumieć tej przeszłości to nie znać siebie samych i zmniejszać siebie przy realizacji przyszłych zamierzeń".

Otóż przewrót, który rozpoczął się w końcu XVIII-go wieku, sięga daleko głębiej niż przewrót spowodowany upadkiem cesarstwa rzymskiego. Barbarzyńcy ze wczesnego średniowiecza chcieli korzystać z dziedzictwa Rzymu, który ocalił dziedzictwo helleńskie; ci barbarzyńcy uznawali cywilizację z imperium *romanum*, ona im imponowała, przejąwszy jej zasady zmienione przez spirytualizm chrześcijański i konieczności czasu oraz materiału, z którym miała współdziałać, barbarzyńcy rozpoczęli wielką pracę, która w dziedzinie ustrojowej przerwana została w różnych krajach dopiero w ciągu ostatniego półtorawiecza. Demokracja wydobyła nowych barbarzyńców od wewnątrz, „*couches nouvelles*" jak określił Gambetta. Ci nowi barbarzyńcy wydobyli się jednak z okrzykami samochwalczymi, z nienawiścią i pogardą do dziedzictwa, które ich oczekiwało. Za pierwsze swoje zadanie uznali oni zburzenie fundamentów, nic dziwnego, że nastąpiła ruina; wprost szaleńcami wydają się ci, którzy stanęli na czele rewolucji w Rosji i w Hiszpanii (zob. *Nolde — „L'ancien règime et la rèvolution russe,"* *Basile — „La Russie sous les Sowiets"*, oraz *Galiano — „La chute d'un trône"*, i *Legendre — „Nouvelle histoire d'Espagne"*) głosząc, że chcą zmobilizować energię narodową i doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca (Rosja) lub zakończyć okres anarchii (Hiszpania). Demokracje narodowe i „wodzowskie" jak dzisiejsze Niemcy, wciągają milionowe masy wzwyż, to prawda, ale tak samo jak demokracje *tout court* nie mogą się obejść bez niwelacji, bez jakichś mitów, bez zerwania ciągłości.

Jest konieczność struktury zróżniczkowanej, shierarchizowanej i autorytetu. To co wyżej powiedziane nie może być podstawą usprawiedliwiającą nieufność do jednostek wybitnych i niewiarą w to, że naprawdę wielcy ludzie mogą się pojawiać. Chodzi tylko o właściwą miarę. Taka miara nie może być fabrykowana tylko przez jedno pokolenie dla wszystkich innych i w szczególności dla siebie samego. Bywają i są potrzebni ludzie wyjątkowi, ale nie można czynić z nich nadludzi i, przedewszystkiem, trzeba mierzyć wielkość miarą doświadczalną, tradycjonalistyczną, co jest możliwe tylko dla pokoleń żyjących ciągle w atmosferze historycznej, we współczuciu i współdźwięku z pokoleniami przeszłymi.

Nie chodzi o przeciwstawianie kultu mas kultowi nadludzi. Takie dwa kulty to właśnie dwie strony tego samego medalu. W nieufności do praw naturalnych i odpowiadających im instytucji, których istnienie ujawnia się w ciągu długich okresów, rzuciły się demokracje do kultu liczby z zaprzeczeniem wszelkich probierzy jakości, lepszości i, na odmianę, do kultu jednostek. Tymczasem trzeba mieć zaufanie do instytucji powstałych nie *a priori* lecz w wiekowych doświadczeniach i do jednostek, nie wyrastających ponad a raczej po za wszelkie prawa i instytucje, lecz w ramach praw i instytucji wychowane. Nie trzeba być wrogiem „*destins hors série*", ale trzeba zwalczać „*destins hors cadres*".

Od półtorawiecza Europa i kraje Ameryki łacińskiej są w stanie wrzenia i przechodzi od anarchii do tyranii. Faszyzm i narodowy socjalizm (a w mniejszym stopniu rządy Salazara w Portugalii i Metaksasa w Grecji) przywracają konieczne poczucie autorytetu, posłuszeństwa, karności, hierarchii. Tyle prawd i koniecznych prawideł i instytucji zostało obalonych i podważonych przez gwałt, sceptycyzm i „tolerancję" w ostatnim półtorawieczu, że konieczne jest mocne przyciśnięcie stosowane przez faszyzm i nacjonal-socjalizm; tylko, niestety, wobec konieczności bezpośredniego kontaktu z masami nastąpiły wykolejenia polityczne i moralne, których nie można było prawie uniknąć.

Dzięki rewolucjom narodowym, które w każdym kraju mają charakter odrębny, wynikający ze specyficznych właściwości środowiska, w którym zachodzą, następuje powrót do normy. Instytucje religijne, rodzina, organizacje zawodowe (korporacjonizm) dochodzą do głosu, przywracane są na właściwe miejsce w krajach odradzających się pod kierunkiem nacjonalistów prawdziwych, tradycjonalistów żyjących w atmosferze historycznej. Dzięki tym instytucjom i organizacjom może zostać uporządkowana wydajność twórcza energii. Ludzie umieszczeni w ramach ciągłości cywilizacyjnej budują a nie niszczą. Doskonałym przykładem wskazanie na rolę Mazariniego, cudzoziemca będącego sternikiem państwa w ramach narodowych instytucji tradycyjnych, i Bluma, cudzoziemca korzystającego z władzy danej mu przez ustrój antynarodowy, antyhistoryczny, antyorganiczny (zauważmy także, że monarchia francuska swobodnie działając — inaczej było przy powołaniu Neckera — wezwawszy cudzoziemca wezwała jednak członka hierachii religijnej i przedstawiciela rasy romańskiej). Uderzającym także przykładem, popierającym nasze twierdzenie, jest porównanie odrodzeńczej roli Bourbonów, po ćwierćwiekowych zakończonych klęską wojnach rewolucji i przedłużającego rewolucję cesarstwa, z katastrofalnemi skutkami *régime'u* francuskiego po zwycięstwie, odniesionem przez naród mimo tego *règime'u* w roku 1918.

Wypowiadane są opinie, że wiek XIX był „wiekiem złotym", w którym dzięki liberalizmowi i tolerancji nastąpiło powszechne podniesienie się i rozkwit we wszelkich dziedzinach. Nie przeczymy. Jednak dodatnie wyniki osiągane w XIX wieku były skutkiem warunków, które tylko wtedy istniały. Z liberalizmu i tolerancji, gdy nie było niszczycielskich wybuchów masowych, korzystały elity przygotowane jeszcze przez *ancien règime*. Trwanie dłuższe systemu dziewiętnastowiecznego oddalało od *ancien règime'u* i psuło elity wprowadzając do nich plutokrację, obcokrajowców i „chamów" — nowych pełnych samochwalstwa barbarzyńców. Teraz jest okres przełamywania fałszywych założeń, okres pokuty i powrotu do prawideł pozwalających na istnienie elit oczyszczonych z uwiądu starczego i z ognisk zapalnych.

LESZEK GEMBARZEWSKI

FILM W POLSCE

„FILM jak każda gałąź sztuki wielkiej, jeśli ma porywać, wstrząsać i wychowywać musi rozwiązywać problemy i zagadnienia najbardziej życiowe” (Hoszowski, „Film, sztuka i etyka”, str. 23), a tymczasem u nas przedstawia się to jak najgorzej. Weźmy filmy wzięte z codziennego życia. Cóż w nich znajdziemy? — Spelunki, nagość kobiet, rozpustę mężczyzn, zakulisowe brudne sprawy, pijaństwo, kradzieże, wykrętne wybiegi, oszustwa. Nie obrzydza się tego i piętnuje, ale toleruje z łaskawym pobłażaniem i uśmiechem. Podsuwa się widzowi błoto moralne jako rzecz zwykłą, naturalną. Szerokie masy gonią za sensacją, ale czemu we wszystkim tyle zakłamania, brudu i bezwstydu, obnoszącego się na ekranie niemal triumfalnie? Czemu pozwalamy na wyświetlanie filmów, z których biją rażąco myśli i czyny, wylęgłe na bagniskach żydo-komuny i szerzącego się obecnie na całym świecie bezbożnictwa? Musimy się bronić przed obcym żywiołem, który chce nam zatruć dusze. Czas najwyższy pomyśleć o zdrowej produkcij filmowej, tworzącej nie tylko filmy religijne. Bo człowiek stworzony jest nie tylko do modlitwy i pobożnych rozmyślań. Po pracy i trudzie należy mu się godziwa rozrywka.

W dziale filmowym w porównaniu z innymi państwami stoimy na szarym końcu. Przed kilku laty (1929/30 r.) w dziedzinie filmowej nie było u nas nic godnego uwagi. Tworzono wtedy jakieś amatorskie filmy coś w rodzaju kiczu Ryszarda Blumenfelda-Ordyńskiego — „Pan Tadeusz”. Było kilku żydów-półinteligentów, produkujących i reżyserujących jakieś pseudo-filmy i chciwie żerujących na naiwności naszej publiczności, łaknącej rodzimego polskiego filmu. Znalazł się jednak Polak p. Stefan Dękierowski (obecny prezes Zw. Producentów Filmowych i właściciel atelier i laboratorium „Falanga”, przedstawiających przeszło milionową własność), który — choć rozporządzał początkowo niewielkimi środkami — zorganizował dwie hale atelierowe. Za jego przykładem powstało szereg firm, ale, niestety, żydowskich.

Producenci tworzą Zw. Producentów Filmowych, biura wynajmu swoje i obce, oraz zrzeszają się w Zw. Przemysłowców Filmowych. Producenci krótkiego metrażu tworzą Zw. Krótkometrażowców, a właściciele kin — Zw. Właścicieli Kinoteatrów. Istnieje Naczelna Rada Filmowa w Polsce ze wspomianym żydem Blumenfeldem na czele. Poza „Polską Spółką Filmową”, która mimo, że rozporządza odpowiedniemi środkami na produkcje filmowe, i rusza się dość ospale, nie mamy właściwie wytwórni filmowej. Boć trudno zaliczyć do polskich firm „Panta-film” z osławionym akademikiem Wacławem Sierorzewskim na czele. Wprawdzie figurują tam F. Goetel, T. Filipowicz, ale pierwsze skrzypce należą do żyda Maksa Aksta-Weronicza. Pan prezes jest tu tylko do wyjednywania subsydiów na kręcenie filmów i pisanie scenariuszy a rej wodzą i czerpią korzyści żydzi. Mamy obecnie w Warszawie następujące atelier filmowe: „Falangę” przy ul. Szopena z dobrymi urządzeniami technicznymi i świetlnymi, włas. St. Dękierskiego, „Falangę” przy ul. Trębackiej, „Sfinks” z dobrą aparaturą dźwiękową, włas. żyda Finkelszteina i inne żydowskie nie mające większego znaczenia. Dla ilustracji istniejącego stanu wymienię jeszcze właścicieli poszczególnych biór wynajmu oraz kin stołecznych.

„*Patria-film*”, właśc.: Aleksander (?) Grynbaum-Grywiński, Adolf Zerl, „*Greenfilm*”, właśc. Wegweiser, „*Parlo-film*”, właśc. Norbert (Nuchim) Tarler, który ostatnio wyprodukował „Dziewczęta z Nowolipek” w/g powieści Gojawiczyńskiej. Mamy dwa składy wolno-cłowe koncesjonowane przez Ministerstwo Skarbu — „*Komis-film*”, w 50% własność żydowska, „*Jarfilm*” pozostał w ręku chrześcijańskich.

Weźmy teraz nasze kina. Jest ich w Polsce około 600, a w tym w dobrym stanie 100, reszta zaś — to najokropniejsze dziury z najgorszą aparaturą. 65% kin w Polsce znajduje się w rękach żydowskich. Dla przykładu weźmy kilka większych kin w Warszawie:

„Apollo” — właśc. Eliasz Leiman i podobno obecnie Hochman, „Bałtyk” — Bolesław Górewicz i Maria Górewicz — żydzi, „*Capitol*” i „Pan” — Hochman i J. Mann, „*Casino*” — Zygmunt Krantz, Roman Krantz, „Europa” — F. Dajcz i Bolesław Górewicz z „Bałtyku”, „*Majestic*” — Maurycy Lilienfeld, „Stylowy” — St. Zagrodziński (podobno już tylko firma), a właściwie St. Patron i A. Stalski-Pantofelmacher, „*Rialto*” — Henryk Poznański i Arnold Rozenszajn. Właścicielami prawie sami żydzi. Z pośród wielkich kin t, zw. zero-ekranowych, których jest około 14, tylko „Roma”(własność Akcji Katolickiej), znajduje się w rękach polskich, a pozostałe — żydowskich i niemieckich.

Wobec nurtujących obecnie wszędzie prądów nacjonalistycznych, wytrwałego dążenia do unarodowienia handlu i przemysłu, nie możemy patrzeć na to wszystko bezczynnie. W imię naszego dobra ogólnego musimy się zabrać do odżydzenia dziedziny filmowej, przy pomocy wysiłku całego społeczeństwa. Trzeba tylko więcej zrozumienia, dobrej woli i wytrwałości.

Należy podkreślić, że również skład personalny poszczególnych biur i przedstawicielstw obcych — poza gońcami i woźnymi — stanowią prawie włącznie żydzi. Czasem spotykamy nazwiska rdzennie polskie. Jednak poza nielicznymi podstawionymi Polakami, którzy są jedynie narzędziem w rękach żydowskich, nieomal zawsze ukrywają się żydzi. Panowie dyrektorzy też oczywiście są czystej krwi Semitami. Dla ilustracji tego weźmy kilka większych przedstawicielstw:

Metro-Goldwyn-Mayer-Corporation (Marszałkowska 96) — Francis N., Becker, Artur Fiedelbaum, dyrekcja: D. Bermann i Michał (?) Gojchrach — pracuje 40 żydów.

Paramount-Film — W. Lange, André Olsen, Carl Frank, Dixon, Mieczysław Czaban — zatrudnia 30 żydów.

Fox-Film — Benjamin Miggins, Dr. W. Mikulecki, Gustaw Jofe i Józef Wajnryb.

Warner Bros First National — Robert Szless, H. J. Erlanger, H. Michaud i Beno Slesin. Właściwy kierownik firmy — dyr. B. Jankołowicz, żyd litewski, mówiący tylko po rosyjsku i nie mający obywatelstwa polskiego (a może już otrzymał?).

Pierwszy film dźwiękowy z żydem Al Jolson'em uratował prezesa tej wytwórni — Harry Warnera od ogłoszenia generalnej plajty. Oddział i przedstawicielstwo tej firmy zatrudnia 30 żydów i po 8-miu w czterech filiach prowincjonalnych.

Widzimy tu nazwiska aryjskie wszelkich narodowości, ale właściwie więcej jak pewne, że pod nimi kryją się żydzi.

Jeżeli firmy zagraniczne chcą eksploatować swoje filmy na terenie Polski, to powinny je powierzać przedstawicielstwom polskim, gdyż inaczej odnośne władze mają dosyć atutów, aby je do tego zmusić.

Teraz parę słów pod adresem artystów polskich, którzy za nędzne grosze firmują żydowskie kicze. Można mieć pewne wyrozumienie dla ludzi niedoświadczonych, którym granie w filmie imponuje, ale artyście wielkiej klasy nie wypada bratać się z żydem. Sytuacja winna być jasna: producenci — żydzi, artyści żydzi, i filmy dla żydów. Społeczeństwo polskie z pożytkiem dla siebie obejdzie się bez żydowskich kiczów. Młode pokolenie czuje wstręt do spraw niskich, jest spragnione rzeczy pięknych, szlachetnych.

Śmiało można powiedzieć, że film panuje nad umysłami mas, bo działa na nie więcej nawet, niż najlepsza książka, bo bezpośrednio, sugestywnie. To też winien dać pokarm zdrowy, piękną myśl, sens moralny — być nie tylko godziwą rozrywką po pracy i trudzie dnia codziennego, ale również i czynnikiem pouczającym, wychowawczym.

Do kin uczęszczają licznie prócz szerokich mas i ludzie inteligentni, więc tymbardziej film winien stać na wysokości swojego zadania pod każdym względem. Ludzi poważniej myślących nie zadowolą jakieś żydowskie partactwa.

Musimy walczyć wytrwale o dobry polski film wyświetlany w polskim kinie, a gotowe filmy wynajmować tylko przez własne biura wynajmu, Nie tylko domaga się tego od nas katolickie sumienie, troska o wychowanie przyszłych pokoleń, ale w grę wchodzi jednocześnie i duma narodowa, która nam jako wielkiemu państwu, które promieniowało swą wiedzą, kulturą i sztuką, nie pozwala na polu kinematografii stać na szarym końcu omal że całego świata.

Dość już czerpania zysków przez obcy i zawsze dla nas wrogo usposobiony żywioł żydowski, w każdej dziedzinie przemysłu i handlu — zalewający nas szerokimi falami, którym należy stawiać silne tamy, dość przesycenia całego społeczeństwa — a zwłaszcza młodego pokolenia — zatrutym jadem bezbożnictwa i niemoralności, płynącym z ekranów.

Mamy wszelkie warunki, aby rozwinąć naszą produkcję filmową i postawić ją na wysokim poziomie. Mamy zdolnych reżyserów z p. R Gantkowskim na czele i zdolnych artystów, więc na co czekamy.......

Całe społeczeństwo domaga się zmiany. Żywioł obcy z kinematografii musi być z Polski wyparty na zawsze.

JAN WSZEBOR

MIŁOŚĆ

I

Cóż ja ci powiem? Cóż ci powiem?
Dzień różowieje przy twojej głowie,
mrok się rozjaśnia, a gwar przycicha,
a cisza tobą oddycha.

Co ja ci więcej w śnie uwielbienia
powiedzieć mogę?
Chciałbym najczystszym moim pragnieniem
objąć ci nogi.

Chciałbym dotknąć twych rąk ustami
w największej czci,
chciałbym cię prosić: módl się za nami...
Przebacz mi.

Cudna jesteś — jesteś cudna taka,
że ręce się same składają —
Madonno w bławatkach i makach,
ubrana majem...

II

Kipi na brukach ciepła ulewa,
płonie wiadukt błyskawic zjawą,
opalizują cudowne drzewa,
tęcza gaśnie ponad Warszawą.

Świeci samolot na wysokości —
widzę wszystko przez twoją dłoń —
ku zorzy brodzą przęsła mostu,
gra blaskami wiślana toń.

Iskrzą się domy w wieczornych strojach,
płynie ulicą, niebem i wodą
życie owiane Boską urodą —
ty jesteś moja — moja.

Biją młoty w sztaby żelaza,
płaszczą się główki nitów —
walą się gmachy — wieje zaraza —
śmieje się maj z błękitu.

Śpiewają dzwony, wloką się ciała
do wieczystego spokoju — —
szaleje pożar — życie, śmierć, chwała —
ty jesteś moja, moja!...

A gdy świat ścichnie i noc zaświeci
blaskiem twojego czoła,
przez ciebie czuję nurt tysiącleci,
słyszę, jak wieczność woła.
I wiem, że j e s t e m — w gwiezdnych rojach,
bo tyś jest moja, moja...

III

Więc można przełamać samotność
i wyjść na wolność przez wyłom;
wystarczy ustami dotknąć
ciebie, krynico cudownej siły.

Więc można pierś boskością poić,
więc można kochać i wierzyć
z woli przedziwnych oczu twoich
powiewie świtu świeży...

Dźwięczą kosami, wyją w wybuchach
pola zbożowe i pola krwawe;
Bóg mi moc daje, najmilszy druhu,
przez twoje ręce łaskawe.

A w twoim wzroku — a w twoim wzroku,
jak blask zza nieboskłonu —
widzę Jego ogromny spokój,
moja żono.

TADEUSZ DWORAK

NA WIDOWNI

„Cierpkie pobratymstwo"

TRUDNO zaiste o lepszy tytuł, gdy mowa o Czechosłowacji. W słowach tych kryje się właściwie cała charakterystyka problemu. Miał stanowczo rację Filochowski, że tak nazwał swe doskonałe szkice, bo niestety nie jest to, jak głosi nagłówek „Książka o Czechosłowacji", lecz jedynie zbiór feljetonów. Tylko, że dzisiaj od porządnych, planowo pisanych książek niemal że odwykliśmy.

Tymczasem, choć praca Filochowskiego zapełnia aż dziwną w naszych stosunkach lukę — jednak jest jeszcze zbyt skromną. O Czechosłowacji potrzebne nam jest gruntowne i to niebylejakie studium. Jest to nasz sąsiad, wprawdzie mały, ale bardzo ważny, a dla naszej polityki kluczowy.

„Cierpkie pobratymstwo"... Zwróćmy sobie uwagę na to wspaniałe zestawienie. Mamy tu dwa elementy: bliskość i wrogość. I rzeczywiście zarówno nasz stosunek do Czechów jest pełen kontrastów, jak i ich do nas. Aż dziwne poprostu, jak dalece tu są różne w pewnych kołach opinie.

A więc jedne, — owe dobrze znane zachwycanie się Czechami, ich polityką i rozumem i bezkrytyczne wprost rozmiłowanie się w nich jako naszym sojuszniku. Spór o Cieszyn? — głupstwo; — widome dowody wrogości? — to samo; —ukrainizowanie Rusi i szkolenie tam terorystów? — bagatela — i tak bez końca, bo Czesi to bastion przeciw Niemczyźnie, sojusznik Polski, brat z Zachodu *et caetera.*

Ale są i inni jeszcze Polacy. Dla tych Czech jest najobrzydliwszym ze wszystkich wrogiem. Nie ma obelgi, jakiej by na niego nie rzucili i chcieliby wprost to państwo unicestwić z powierzchni ziemi. I jak pierwsi są głusi na wszelkie argumenty, że tak sielankowo nie jest, tak tamci uspokoić się w swej antyczeskiej furii niczym poprostu nie dają.

A prawda tymczasem jest pośrodku i to raczej ku cierpkości. Twierdza czeska jest nam potrzebna i w ręce Niemców wpaść nie może. Ale nie jest ani bastionem, ani sojusznikiem, a co do braterstwa, to jest ono... przyrodnie.

Owo tak częste przecenianie wartości Czech ma swe źródła w nieznajomości historii. I z tego względu naprzykład, ogromnym brakiem książki Filochowskiego jest to, że ona o historii czeskiej nic nie mówi. Mamy tu niby po polsku historię Krofty, ale by z tej lektury odnieść istotny pożytek trzeba ją bardzo uważnie, bardzo samodzielnie i bardzo mądrze czytać.

Nieznajomość też historii czeskiej i fałszywe jej ocenianie pod kątem widzenia ostatnich dwu stuleci — ile wpłynęły na nasze konstelacje uczuciowe i polityczne. Sugestie niektóre tu są tak silne, że nawet fakty najoczywistsze nie mogą pewnych sądów podkopać. A warto jednak na niektóre rzeczy zwrócić uwagę.

A więc przedewszystkiem Czesi są najmniej państwowotwórczym narodem słowiańszczyzny. Jedni chyba Ukraińcy-Rusini biją tu ich na głowę. Historia czeska jest aż nadto wystarczającym dowodem, i pewnych jej objawów nie można tłomaczyć tym, że Czechy były bardziej od Polski czy Węgier przez Niemczyznę zagrożonymi. Nie jest to bowiem prawda i przez całe głębokie średniowiecze — niemczyzna szła na nich tylko od jednej ściany, akurat tak jak na nas i na Węgry i równie nas wszystkich szarpnęła. Odpowiednikiem Sudetów będzie z naszej strony Śląsk a z węgierskiej te 10% Niemców w państwie, utracony dziś bezpowrotnie Burgenland i Sasi siedmiogrodzcy i spiscy.

Ale cała rzecz w tem, że Piastowie i Arpadzi zorientowali się w porę w położeniu i wybrali politykę właściwą. Mieszko darował swe państwo papieżowi, a św. Stefan uzyskał z Rzymu koronę. Przemyślidzi wybrali tymczasem lenno cesarskie i królewskiej korony dorobili się na „*römerzugach*". Za walkę z Grzegorzem VII czeski Wratysław został koronowany aż w dalekiej Moguncji, a Sobiesław I dumny był z godności cześnika imperium. Były to pozorne triumfy i pozorne łatwości kultury. Niemcy zalali kraj, forytowani przez słowiańskich władców — gdy tymczasem w Polsce mimo równie wielkich błędów jeśli chodzi o Śląsk i Prusy, tak dalece kraju nie ujarzmili, a i na Węgrzech mimo kilkusetletnich rządów habsburskich nie zdołali ująć w kleszcze narodu. Ale w historii początki o wszystkim decydują.

Nie może więc dziwić, że państwo czeskie runęło na dobre już w 1620 roku, a więc w czasach, gdy Polska była mocarstwem, a Węgier nie unicestwiła podobna do Białej Góry katastrofa mohacka. Naród czeski musiał się odradzać jak feniks z popiołów, gdy tymczasem polski i węgierski istniały zawsze i tylko nie zdołały utrzymać cały czas swego państwowego bytu.

W każdym razie lata całe historii czeskiej zrobiły z nich nie tyle bastjon przeciw niemczyźnie, ile rozpaczliwie tonącą w niej wyspę — której cały ratunek — silni antygermańscy sąsiedzi. Jest ich dwóch — Polska i Węgry. Ale polityka Czechów wobec Polski była zaprzeczeniem zdrowego rozsądku, a co do Węgier, pominąwszy już sprawy Słowacji, traktat w Trianon uczynił z nich narazie nie wroga Niemców, jakiemi byli tysiąclecie, ale ich wprawdzie poniewoli, sojusznika.

Tyle o historii, choć to o wiele zamało. Ale jeszcze chodzi o ideologię tej historii i co za tem idzie o oblicze narodu. I tu wybrano również złą drogę — oddalono się od Rzymu. Czechosłowacją rządzi jak to dowcipnie mówi Filochowski „Golem w fartuszku". No i rządzić musi, bo cała tradycja husycka jest szkołą przygotowawczą do masońswa, a po Białej Górze odrodzenie dokonało się wybitnie na przekór katolickiej Austrii. Utożsamiono katolicyzm i Habsburgów i w dzień przewrotu tryumfalnie rzucono Husowi pod nogi posąg Matki Boskiej. Znowuż kontrast ogromy z nami i z Węgrami. Dla nas przecież Matka Boska jest Królową, a i Węgry są *regnum Marianum.* I o ile my nie mieliśmy tego problemu co Czesi — to przecież Węgrzy byli w tym samym co oni położeniu. I ostatecznie mimo ultrakatolickich Habsburgów, a swoich podstępnych krzywdzicieli i mimo ultra-patriotycznego zapału protestanckich kuruców — zostali jako naród katoliccy i zacho-

wali źródła siły. A tymczasem na czym mają budować Czesi? Jest i u nich wprawdzie ruch narodowy, ale wisi on w powietrzu i uczuciowo borykać się musi z całą przeszłością; — o co się oprze? czem masy poruszy?

I tu jeszcze jeden dramat — utopijny nonsens Czechosłowacji, w której scementowanie tak na serio wierzono w Wersalu. Nie tylko, że nie ma narodu jednego, ale nie ma właściwie żadnych podstaw do wspólnego życia tych dwu narodów. Jak to rozwikłać, czy walka się będzie wlec bez końca?

To są wszystko pytania na które, częstokroć książka Filochowskiego odpowiedzi żadnej nie daje. Ale pytania na które trzeba sobie koniecznie odpowiedzieć. I tylko pamiętać jeszcze trzeba, że są to pytania za wielkie, by można na nie odpowiedzieć studiując jedynie samą Czechosłowację. Są to bowiem sprawy całej Europy, a już w każdym razie Polski, Niemiec i Węgier. Drogi wyjścia znowu wskaże historia i ona pouczy co realne. To prawdziwa mistrzyni życia. A los Czech jest trochę i losem Polski. Jak za Jagiellonów ważne są teraz dla nas znowu Łaba i Dunaj.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

„DEMOKRACJA KWESTIĄ ŻYCIA"

JAKIEMKOLWIEK będzie sformułowanie naszego stosunku do kwestii Czechosłowacji, podyktowane ono być musi ambicjami oraz interesami Polski — to chyba nie ulega żadnej dyskusji. A tymczasem istnieje w Polsce cały odłam społeczeństwa, któryby życie swe nawet oddał za ideał demokracji reprezentowany rzekomo przez Pragę. Podkreślamy: za ideał demokracji. Teraz i wyłącznie wyrazem tego odłamu („odłamu" dosłownie...) jest w Warszawie „Dziennik Ludowy", który wciąż do znudzenia i przez duże „D" pisze o owej demokracji, lichym liczmanie wyszłym już na szczęście z obiegu.

„Dziennikowi Ludowemu" nie chodzi wcale o treść, o istotę. Przywykły do prawienia demagogicznych frazesów, obciążony dziedzicznie demagogią zachłystuje się formułą, nie dbając zupełnie o to co stoi po za nią, co formuła ta kryje.

W numerze z dnia 25-go maja, cytując słowa prezydenta Benesza wypowiedziane w Taborze, zwraca uwagę czytelników na następujące zdanie: „Żadna siła nie zdoła podważyć naszego demokratycznego ustroju: jest to dla nas kwestią życia".

Podyskutujmy: kwestia życia, czy śmierci? Bo ostatnie wybory samorządowe dały klasyczny chyba obraz rozbicia czeskiej jedności narodowej, jaskrawo uwypuklony na tle konsolidacji niemieckiej pod wodzą Henleina. Rozbicie wobec grożącego niebezpieczeństwa rękojmią niepodległości? Powstrzymajcie śmiech przyjaciele...

Ostatnie wybory samorządowe powiedziały wiele nie tylko o zaletach ustroju demokratycznego, wiodącego wprost do anarchii, ale ukazały w pełni hipokryzję demokracji, szczególnie czeskiej.

Terror przedwyborczy uniemożliwił ostatniej niedzieli wystawienie polskich list wyborczych w szeregu miejscowości. Terror nie przebierał w środkach.

Donosi PAT:

Z kół wyborców polskich — pisze „Dziennik Polski" — oświadczono, ze Polacy nie mogli ośmielić się na jakikolwiek ruch organizacyjny bez narażenia swej egzystencji. Polakom, którzy odważyliby się podpisać polską listę, czy w ogóle kandydować, grożono już ze strony czeskiej utratą pracy na kopalniach, zamknięciem jedynej polskiej szkoły w Śląskiej Ostrawie. Przeciwko terrorowi — pisze „Dziennik Polski" — podnosimy stanowczy protest, a ludność polską w powiecie frydeckim wzywamy do niezniechęcania się i do wytrwania, gdyż prędzej czy później i tu doprowadzimy do naszego zwycięstwa.

Donosi ATE:

Niedzielne wybory samorządowe na Śląsku Zaolzańskim odbyły się w atmosferze wielkiego naprężenia nerwowego, ale zarazem opanowania ze strony polskiej, która mimo wysiłków ze strony pewnych czynników, nie dała się sprowokować. Należy podkreślić, że strona czeska stosowała wobec ludności polskiej wszelkie możliwe metody, aby odstraszyć ją od głosowania na listy polskie. Pobito kilku Polaków. M. in. ciężko potłuczono Polaka — Rusnoka w Tirze, którego pobito do utraty przytomności kijami i kamieniami.

Należy podkreślić, że na wyniku wyborów zaciążyły nie tylko terror uprawiany w okresie przedwyborczym, zarządzona ostatnio mobilizacja dwóch roczników rezerwy oraz ustawiczne konfiskaty jedynego pisma polskiego, jakim jest „Dziennik Polski", lecz także zakaz odbywania zgromadzeń przedwyborczych pod gołym niebem przy równoczesnym zajęciu wszystkich większych sal, gospód itd. przez oddziały wojskowe. Wprawdzie na parę dni przed wyborami nakazano wycofać oddziały wojskowe z najbardziej widocznych punktów pogranicza czesko-polskiego, lecz na ogół nie przypuszczają, by władze czeskie zechciały zrezygnować z tendencji do jeknajsilniejszego obwarowania pogranicza polsko-czeskiego.

Mimo wszystko, wybory do samorządów przeprowadzone na Śląsku Zaolzańskim, w dniu 19 bm. wykazały przyrost głosów polskich, a ubytek czeskich.

Oto próbka demokracji czeskiej w odniesieniu do praw ludu (tak! tak!) polskiego.

Tenże nasz osobliwy „Dziennik Ludowy" (jakże się w Polsce zmienia pojęcie folkloru!...) w rubryce „Głosy i odgłosy" w artykule: „Klęska reakcji czeskiej" pisze:

Fakt ten (t. j. klęska stronnictw nacjonalistycznych) świadczy o dojrzałości społeczeństwa czeskiego, o tym, że nie dało się wytrącić z równowagi. Zwykle bowiem żywioły demagogiczne i nieodpowiedzialne w chwilach podniecenia próbują wysunąć się na front. W Czechosłowacji stało się inaczej i partie socjalistyczne, które wraz z agrariuszami i katolickimi ludowcami ponoszą główną odpowiedzialność za rząd, wyszły z wyborów zwycięsko. Na historię znacznej części niemieckich współobywateli, opętanych przez Hitlera i Henleina, dali wyborcy czescy odpowiedź, świadczącą o ich rozumie politycznym i zmyśle państwowym.

Nacjonalizm czeski reprezentowany przez wychowanków dra Kramarza, jest nam równie nie miły, jak i lewica zwycięska, owa przedziwna koalicja rządowa katolików z socjalistami, to też mamy prawo raz jeszcze powiedzieć: powstrzymajcie śmiech a... zacznijcie łkać.

Rosja przed laty dwudziestu usiłowała się też bronić demokracją, w rezultacie grzebiąc i Rosję i demokrację. Ale lekcja rosyjska niczego pewnych sfer nie nauczyła.

A może właśnie to pojętni uczniowie redagują „Dziennik Ludowy", zadając raz po razu samobójcze ciosy.

Tajemnicze są drogi taktyki politycznej.

ZMARLI

Ś. P. HELENA JABŁONOWSKA

ZMARŁA w Warszawie po długiej chorobie ś. p. Helena Jabłonowska, żona senatora Władysława Jabłonowskiego, stałego „Myśli Narodowej” współpracownika. Ze względu właśnie na ten stosunek należy się serdeczne wspomnienie jednej z tych przedstawicielek świata kobiecego, które zacnością i oddaniem obowiązkowi, jako strażniczki domów rodzinnych, stwarzają w obozie pracy i walki ideowej atmosferę twórczości pomocną.

Ś. p. Helena Jabłonowska, urodziła się w ziemi Sandomierskiej, jako córka Marii z Jasińskich i Mariana Ośniałowskich. Dziad jej Andrzej, wielbiciel Napoleona, wstąpił w szeregi jego wojsk i walczył 1806 — 1812 we wszystkich kampaniach od Madrytu do Moskwy. Ojciec Marian, wychowaniec Szkoły Głównej, był potem dzielnym agronomem.

Ś. p. Jabłonowska, poślubiwszy przed czterdziestu laty swego męża i porzuciwszy pełen uroku tryb życia sielskiego w domu ziemiańskim, przystosować się musiała do zgoła odmiennych warunków bytu miejskiego w klatce kamienicznej.

Świadkowie ślubu pamiętają urodziwą postać panny Ośniałowskiej, gdy wchodziła w ten nowy swój dom w welonie na głowie. Nie przeczuwała, że życie upłynie jej w tych ścianach i że po latach kilkudziesięciu tutaj, w temże mieszkaniu życia dokona.

W domu tym płynęło pod jej opiekuńczym skrzydłem życie literackie męża, a zrazu przez lat zgórą dziesięć praca naukowa stryja, znakomitego historyka Aleksandra Jabłonowskiego. Dobrym duchem była rodziny, zawsze pełna spokoju i niewyczerpanej dobroci.

Przy łożu śmierci, prócz męża, były obecne dwie siostry Zmarłej: p. Aleksandra Kordzikowska i kanoniczka Zofia Ośniałowska oraz dzieci: Aleksandra, Zofia Pstrokońska i syn Władysław.

Redakcja „Myśli Narodowej” łączy się w żalu serdecznem współczuciem z tymi, którzy tę śmierć opłakują, a przedewszystkiem z kolegą swoim, Władysławem Jabłonowskim.

W.

Ś. P. MARIA DYNOWSKA

PRZED paru tygodniami zmarła w Krakowie zasłużona polonistka, poetka, wychowawczyni i działaczka narodowa ś. p. Maria Dynowska. Przed wojną znała ją Warszawa jako młodą nauczycielkę i początkującą pisarkę Rodzina jej pochodziła z Ukrainy. Ojciec jej, Henryk Dynowski, po ukończeniu uniwersytetu w Kijowie osiadł z rodziną w Warszawie. Tutaj wychował córki Marię i Jadwigę. Sam ustalił się w Warszawie jako pedagog w szkołach prywatnych. Później był kierownikiem biura gospodarczego L. Krynenberga.

Maria Dynowska już w Warszawie dała się poznać jako pionierka ruchu oświatowego, badaczka literatury i jako utalentowana pisarka dla dzieci.

Przed samą wojną rodzina Dynowskich znalazła się na Śląsku (w Wiśle), gdzie ojciec nabył posiadłość. Tam siostry Dynowskie zajęły się oświatą ludu, co powodowało nieraz interwencję policji austriackiej, liczącej na to, że Cieszyńskie nigdy się nie spolonizuje.

Po śmierci ojca siostry Dynowskie pozbyły się posiadłości w Wiśle i osiadły w Krakowie. I tutaj w wolnej Polsce patriotyczne stanowisko nie ułatwiało Marii pracy. Ograniczano ją w pracy nauczycielskiej jako bezwzględną hołdowniczkę programu narodowego. W r. 1930, gdy jako kandydatka do sejmu wygłosiła w Krakowie swoje *credo*, aresztowano ją, wybór a potem sprawowanie obowiązków zawodowych udaremniono.

Znana Akademii Umiejętności z prac swoich dawniejszych znalazła zajęcie u prof. Konopczyńskiego w redakcji „Słownika Biograficznego”.

W ciągu 16 lat stała na czele Narodowej Organizacji Kobiet woj. Krakowskiego. Włożyła w tę działalność wiele pracy, pełnej poświęcenia. Kochano ją powszechnie i szanowano. Była to bowiem istotnie kobieta niepowszednia. Ofiarność jej nie znała granic, pracowitość była wprost heroiczna. Imię jej w dziejach ruchu narodowego odrodzenia, w dziejach kultury, w dziejach pedagogiki polskiej — utrwalone będzie po wieczne czasy. Stronnictwo Narodowe traci w niej postać sztandarową, społeczeństwo — wzór obywatelki.

W.

NAUKA I LITERATURA

Z DZIEJÓW FILARECKICH WILNA

NIE MIELIŚMY dotąd powieści, ukazującej Adama Mickiewicza w jego młodości oraz najbliższe mu grono filomackie. Lukę tę wypełnia książka wileńskiej autorki, orientującej się dobrze zarówno w ogólnem tle historycznem epoki jak i szczególnie w aktach procesu, którego archiwum w pełni udostępnione za niepodległości stało się podstawą znajomości prac i zabaw studentów, porwanych wichrem dziejowym na przewodnicze miejsca w narodzie.

Powieściopisarka [1]) oparła się tutaj zapewne na zbiorze protokółów komisji śledczej z r. 1822 w osobach profesorów: Bojanusa, ks. Kłągiewicza i Łobojki, przed którą to komisją zeznawali: Zan, Teodor Łoziński, zwany „Szerokiem“, Mickiewicz i Czeczot na okoliczność t. zw. „promienistości“ i związanego z tem żywła organizacyjnego młodzieży. Ze zbioru tego, wydanego przez Z. Wasilewskiego, można się u samego źródła, bo z zapisanych odpowiedzi „arcypromienistego“ Tomasza Zana, dowiedzieć, czem była owa przesławna „promienistość“ i w jakim pozostawała związku z ówczesną filozoficzno-fizykalną dociekliwością?

Wilno było terenem, na którym w tamte lata krzewił się t. zw. mesmeryzm (leczono przy jego pomocy np. podczas zbiorowych jakby seansów wokół wrzącego kociołka skomplikowane cierpienia żołądkowe), a „Pamiętnik magnetyczny“ miał dużą prenumeratę i zapalonych, entuzjastycznych czytelników. Tej jednorodności zainteresowań odpowiadała, jeśli się tak można wyrazić pokrewność albo wspólnota w pewnym zakresie różnych nieraz, napozór odległych towarzystw i tajnych związków. Tak więc Filomaci, Filareci, Promieniści i Zorzanie to jakby koła koncentryczne o coraz większych zakresach. Filomaci przez Zana pozostają w kontakcie ze Związkiem przyjaciół oraz z organizacjami o charakterze rewolucyjnym, zaprzysięgającymi swych członków na sztylety. Również on jest łącznikiem między filomackiem gronem a Szubrawcami, z których zna dobrze Kontryma, bibliotekarza uniwersyteckiego. Jak dziś wiemy, wielokierunkowym i różnopoziomowym tym poczynaniom usiłowało patronować wolnomularstwo, dążąc do wprzęgnięcia w swe jarzmo co wybitniejszych jednostek.

Akcja powieści rozgrywa się na krótkim odcinku lat przed samym wybuchem wielkich wydarzeń, w erze wstępnych dochodzeń, — co oznacza owa tajemnicza „promienistość“ i jakie są jej praktyczno-polityczne konsekwencje na uczelni, a powtóre, kto spoliczkował pewnego oficera gwardii cesarskiej, stacjonującej w Wilnie? Jeszcze wówczas książę Czartoryski i rektor Malewski usiłowali ratować uniwersytet kosztem choćby tego lub owego zapaleńca z ga-

[1]) Wanda Dobaczewska. „Tam gdzie się serca palą“. Powieść. Warszawa 1938. „Rój“.

tunku opijających się mlekiem na zamiejskich majówkach, cóż, kiedy mieli przeciw sobie zorganizowanych profesorów „Niemców“ a w oddali złowrogi cień Nowosilcowa i W. Księcia. — Chwile te, nadchodzącej burzy, może są bardziej dramatyczne od momentu samego zmącenia żywiołów w niedługim już czasie po tych wydarzeniach.

Galeria figur powieściowych — bardzo bogata i w dużej części nam wszystkim znajoma: Zan i jego „Feli“ Micewiczówna, niezłomny prezydent rządu filomackiego Jeżowski, Łoziński, Czeczot i inni, ukazani na tle barwnego tłumu Wilnian i marmurowo dostojnych, posągowych postaci Jędrzeja Śniadeckiego, ks. Jundziłła, słynnego botanika i profesora, rektora Malewskiego, ks. Czartoryskiego wreszcie, kuratora uniwersytetu w Wilnie.

Autorka, nawet „odbronzowując“ postaci z przeszłości, zachowała właściwy umiar i dystans wobec prawdziwego piękna moralnego i patriotycznego idealizmu tamtoczesnej młodzieży. Powieść p. Dobaczewskiej trafnie łączy i we właściwej proporcji obowiązujący autentyzm historyczny z dowolną w powieści, zwłaszcza w t. zw. „życiu romansowem“, fikcją w zakresie perypetyj miłosnych bohaterów. Jest dosyć szczęśliwą próbą ukazania wybitnych ludzi w życiu codziennym a przecież nie „w szlafroku“. St. J.

RUCH WYDAWNICZY

Pojawił się numer 3 (za maj-czerwiec 1938) Języka Polskiego, dwumiesięcznika wydawanego przez Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego w Krakowie.

Na wstępie Kazimierz Nitsch zabiera głos w dyskusji na temat reformy uniwersyteckich studiów polonistycznych, pisząc „O językowym dziale studiów polonistycznych“. — Uzupełnienia do dawniejszego artykułu Franciszka Sławskiego „Kubek, kubeł i staropolskie kębłać“ daje Adam Tomaszewski. — Edward Klich drukuje uwagi na marginesie utworu Marii Bechczyc Rudnickiej pt. „Malerza raweńskiego owieczek dwadzieście“. Następuje notatka o formie „Polskiej” zamiast „Polski” Konrada Górskiego i Kazimierza Nitscha. — Ciekawa polemika się toczy między autorem czeskiej pracy o kulturze językowej w Polsce, Karolem Krejczim, a jej polskim recenzentem Stanisławem Urbańczykiem. — O znajomości (a raczej nieznajomości) wyrazów nowołacińskich u współczesnej młodzieży studiującej pisze Kazimierz Nitsch. — Numer zamykają zapiski bibliograficzne i wzmianka o Słowniku ortoepicznym Stanisława Szobera.

*

Bież. nr. "Strażnicy Harcerskiej” przynosi następujące artykułn i notatki: „Nauki majowe”..., „Mamy Z. H. P., ale zginęło nam... harcerstwo„; w dziale „wskazówki dla drużynowych” art. „Kończymy rok pracy”; „Prawo harcerskie w zwierciadle prasy oficjalnej Z. H. P.”, „List do harcerza-narodowca”, — nieco o „bratnich” organizacjach, „czwórporozumieniu” i „dekompozycji”. Następują wiadomości z „terenu”, nader bogato obesłane.

Prenum.: 2.50 zł rocznie, 1.30 zł półrocznie. Redakcja i admin.: W-wa, Kredytewa 16 m. 25. Konto P. K. O. 24.405.

*

Monika Saint-Helier. „Zamarły las”. Powieść. Wydawnictwo Stefana Dippla w Poznaniu.

„Zamarły las” — to historia zamierającego rodu arystokratycznego, którego młoda latorośl już jest zupełnie inna: praktyczna, energiczna, pełna inicjatywy i bez uprzedzeń społecznych. Książka bezwzględnie wartościowa, szlachetna, ale trochę sentymentalna, grzebiąca się w detalach, no i pisana stylem tak aforyzmowym i telegraficznym, że aż nuży swoją suchością. Tłumaczyła z francuskiego Maria Balicka.

Z TEATRU

Z POWODU KOMPROMITACJI
TEATRU LETNIEGO

JEST to właściwie kompromitacja Towarzystwa Krzewienie Kultury Teatralnej, które kieruje także działalnością Teatru Letniego. Farsa „Nie trzeba było mnie przejeżdżać” jest ciężka, nudna i trywialna. Przeważa w niej komizm i dowcip najgorszego gatunku. Nic nie pomogą na to paryskie sukcesy Jean Guittona w Palais Royal. Nic nie naprawi stawianie tego autora przez reklamowy miesięcznik „Teatr” „obok wielkiej plejady świetnych farsopisarzy francuskich”. Sztuka jest niesłychaną bzdurą.

Widowisko powinno być przerwane jaknajszybciej, bez jednego dnia oczekiwania na wygaśnięcie frekwencji. Scena polska, choćby rozrywkowa, nie może służyć krzewieniu chamstwa. Nie wahamy się użyć tego słowa; w farsie Guittona panuje chamstwo wielorakie i na wielką skalę.

Organizacje katolickie, czuwające nad życiem kulturalnym, a jest ich dosyć w Warszawie i w Polsce, powinny zwrócić większą uwagę na stronę moralną naszych widowisk teatralnych. Tutaj samo oddziaływanie na opinię może sprawę poprawić, ponieważ opinia to — publiczność.

Przytoczymy jeden niedawny fakt. Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej wystawił siłami swych absolwentek, w zakresie „Warsztatu Teatralnego” (w Teatrze Nowym) parę niedziel temu melodramat p. t. „Dzieci nie chcą żyć”. Sztuka rozgrywa się w dzisiejszej szkole, jest rażąco, tendencyjnie areligijna i szerzy nastroje filokomunistyczne. Większość sali zajęła młodzież szkolna... Tego rodzaju faktów znalazłoby się więcej. [1])

Bieżące widowisko w Teatrze Letnim jest naturalnie sprawą znacznie większą, bardziej skandaliczną. Artyzm i humor, którego jest niewiele, w najmniejszym stopniu nie okupuje niechlujnej treści. Podstawą budowy sztuki, jej osią idącą poprzez wszystkie sceny, jest szantaż. „Chwytem” towarzyszącym jest mistyfikacja. Ładunki dramatyczności, zawarte w dialogach, pchające akcję naprzód, polegają głównie na oszustwie i kłamstwie. Jednym z przejawów tego stylu jest wprowadzenie w błąd władzy państwowej. Drugim osiowym motywem, rozwiniętym kilka razy, jest zdrada małżeńska i zdradzenie narzeczonej w przeddzień ślubu. „Lekki” dowcip francuski wprowadza jeszcze motyw małżeństwa dla interesu w najbrutalniejszej formie oraz motyw kpin ze ślubu. Ażeby jaknajpełniej odzwierciedlić zamtuz Europy, Paryż i odór jego bulwarowej Melpomeny, autor dodał ponadto; sprzeniewierzenie się przyjacielowi, lekceważenie słowa honoru, a na okrasę aluzje bluźniercze („powiedziane jest: wychylisz do dna kielich goryczy”), trucicielstwo i alkoholizm. W treści społecznej jest to karykatura błazeńska arystokracji francuskiej i karykatura prowokacyjna francuskiej burżuazji. Najszlachetniejszą jednostką okazuje się „człowiek z ulicy”, proletariusz.

Sztuka ma do tego stopnia podłą intrygę i tak gruboskórną obróbkę, jest tak jarmarcznym typem farsy, że niewątpliwie została napisana dla folksfrontowego motłochu Paryża. Rozumiemy, że farsa jest farsą, że jej osoby nie mogą kierować się surowymi obyczajami, że nie może w tym rodzaju sztuki scenicznej panować nastrój purytańskiej podniosłości. W takim repertuarze musi być satyra, śmiech, dowcip, pikanteria. Ale „Nie trzeba było mnie przejeżdżać” przedstawia takie nagromadzenie motywów trywialnych, że przytłaczają one nieliczne, żałosne przebłyski kulturalnego dowcipu. Trywialność i nuda sztuki przytłacza też wszelkie wysiłki aktorów. Ratują oni sytuację jak mogą, dając karykaturę farsy. Dymsza, Karczewski, Hnydziński, Grabowski, Jaroń, Gella, Balcerkiewiczówna, Leszczyńska — szkoda tego zespołu do tak kompromitującego widowiska.

T. D.

---

[1]) Sporo ważnego materiału w sprawie działalności T. K. K. T. dostarczył p. J. Kawecki w „*Pro Christo*”, r. 1938, nry 1. i 5., art. p. t. „Melpomene z kielnią”.

ZE ŚWIATA MUZYKI

REFLEKSJE NA TEMAT OPERY

„*Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*"... głosi, zresztą nie bez słuszności, stare francuskie przysłowie. Jeden fałszywy krok, czy „zgubienie brody" podczas prologu „Antygony" przez bohatera Ajschylosa wystarczą, aby wzniosłość zamieniła się w krotochwilę. Zresztą poco tu niepokoić starego Sofoklesa, kiedy i młodsi od niego potrafią zgotować nam podobnie „wesołe" rozczarowanie. Wybrałem się przed kilku dniami na pewien przegląd urywków z oper w wykonaniu adeptów i adeptek studio operowego. Zdawałoby się, że w stolicy wielomilionowego państwa i w obliczu kryzysu jego opery można się było spodziewać, że produkcje elewów tak wysokiej klasy odpowiedzą naogół wymaganiom, jakie się zwykło stawiać w takim przypadku. Przecież tego rodzaju produkcja nie jest zwykłym popisem pań i panów, uczących się śpiewu solowego u różnych pedagogów. Coprawda, na zapełnionej po brzegi sali (szkoda, że nie na przedstawieniu Opery stołecznej) spotykałem dosłownie co krok mniejsze, lub większe sławy pedagogii warszawskiej, prowadzące ożywioną dysputę o wartościach wokalnych swoich adeptów (ek).

Trzeba znać śpiewaków i wiedzieć, że jest to „naród" najbardziej na świecie wygadany (adwokaci są tutaj niczem!), wszystko i wszystkich krytykujący z wyjątkiem oczywiście własnego „górnego c", którego najczęściej nie posiadają.

Początkująca śpiewaczka, z ledwością poruszająca się po estradzie, marzy, zazwyczaj głośno, o sławie Mercedes Capsir, a drugorzędny tenor detonuje *à la* Kiepura, który — rzecz naturalna — jest dla niego niczym. Popis, o którym tutaj piszę, odbył się właśnie we wspomnianej atmosferze wzajemnej kontemplacji. Starałem się obserwować sceny kolejnych oper z możliwym obiektywizmem. Zdawałem sobie sprawę, że ci „młodzi" stawiają pierwsze kroki na scenie, że wielu z nich pracuje nad śpiewem na marginesie swojej pracy zarobkowej.

Słuchałem więc sceny z „Halki", aktu I-go z „Cyganerii" a następnie: „Cyrulika", „Aidę", „Fausta" (akt III) i „Rigoletto". Nie będę tu szczegółowo omawiał poszczególnych osób, ani ich walorów głosowych. Wyniosłem jednak wrażenie, że bardzo często strona wokalna nie stała na wysokości zadania, a gra sceniczna przypominała mi wspomniane „zgubienie brody" z „Antygony".

Co najsmutniejsze, w grze scenicznej, w zespołach i w ruchach artystów nie widziało się niczego nowego. Znowu ten sam szablon operowy, który nie tylko nam się już „przejadł", ale dzięki któremu sprawa przeżycia się sztuki operowej staje się coraz aktualniejszą. Jeżeli tym szablonem mogły żyć uprzednie pokolenia, szukające w Operze przedewszystkiem rozkoszy wokalno-muzycznej, to, zdaniem mojem, nie miejsce nań w dobie obecnej. Bo podobny kąt widzenia może jedynie zaostrzyć kryzys operowy, szczególnie w Polsce. Przecież Radames z „Aidy" — uosobienie bohaterstwa, nie może być niezgrabnym mazgajem lecz musi ruszać się na scenie, jak dobrze wychowana panienka. Siebel nie powinien detonować, a Rozyna podwajać długości fermat co kilka taktów, jak za czasów Trzeciego Cesarstwa... Już z tym Radamesem działo się w Operze najgorzej. Miał „pecha" pomimo zwycięstw, o których była mowa w poprzednim akcie. Każdy ruch wodza i każda niedociągnięta nuta „góry" wywoływały — jednak frenetyczne oklaski... Tak, oklaski publiczności, a więc profesora, kolegów, i co za tem idzie, reszty sali. Słuchającemu tych okropności obiektywnie, robiło się mimowoli wstyd za to publiczne oklaskiwanie parodii opererowej. Sprawa jest o wiele poważniejsza, niżby się mogło zdawać. Jeśli się chce odrodzić i utrzymać przy życiu polską operę stołeczną, należy z większym krytycyzmem urządzać popisy, popisy studiów operowych. Inaczej oklaskiwanie Radamesa stanie się bodźcem do dalszego ośmieszenia zastarzałej i niskowartościowej sztuki, za którą przyjść musi ostateczne odwrócenie się publiczności (tej bezstronnej) od widowisk operowych. A przecie są pośród młodych talenty. Solowa scena Łomankiewiczówny z „Rigoletta" i Małgorzata Rudnickiej były tego dowodem. Amatorstwo Krzemińskiego miało swój wyraz, a znany kwartet z „Fausta" wypadł zupełnie dobrze. Najlepiej oczywiście spisała się orkiestra, pełniąc tu rolę towarzysza do ośmiu, kolejno wystawianych fragmentów, a na jej czele niestrudzony dyrygent, Jerzy Sillich.

Słów powyższych, dotyczących przedstawienia adeptów studium operowego nie dyktuje nam ani złośliwość, ani zazdrość zawodowa. Piszący jest jedynie bezstronnym obserwatorem (ot taki sobie muzykalny słuchacz) i idzie mu o zwrócenie uwagi nie tylko na nieliczne młode talenty wokalne, lecz na zagadnienie przyszłości sceny polskiej. Boć smutne te rzeczy dzieją się — w stolicy, w tych samych murach, gdzie nasz wielki Moniuszko wniósł wślad za Quatrinim, jeden z najpierwszych, wysoki poziom przedstawień operowych i, co może bardziej istotne, — umiłowanie opery przez naród.

ASPER

W ROZMÓWNICY

WYJAŚNIENIE NIEPOROZUMIEŃ

Złapany — jak to się mówi — za frak przez p. St. Pieńkowskiego i zmuszony do tłumaczenia się ze swych zarzutów, robię to, muszę się przyznać, niechętnie gdyż widzę, że dyskusja zboczyła na tematy nieistotne (przynajmniej dla mnie), a utwierdziła mnie natomiast w tem smutnem przekonaniu, iż rzeczywiście różnimy się z p. Pieńkowskim w swoich przekonaniach zasadniczo. Gdy pisałem „Drobne poprawki", myślałem, że tak nie jest, że chodzi jedynie o jaśniejsze sformułowanie pewnych spraw. Gdybym był mógł przypuścić, jak jest naprawdę, nie rozpoczynałbym dyskusji, a ograniczyłbym się jedynie do krótkiego protestu w stosunku do tych poglądów, które rażą mnie (i ranią) jako katolika.

Co do punktów p. Pieńkowskiego odpowiadam na nie pokrótce:

1) P. Pieńkowski wprawdzie nie twierdził, że Kościół w dobie Reformacji nie potrzebował reformy, ale zjechał tak nagle na zupełnie inne sprawy, iż gotów byłem przypuszczać, że się z tem nie zgadza. Tem bardziej, że akurat w tem miejscu pojawiło się zdanie o beznadziejnie płytkim poglądzie.

2) Uważam rzeczywiście, że cechami charakterystycznemi dla protestantyzmu są formalizm i rygoryzm. Formalizm — ponieważ wyznanie to wymaga od swoich wyznawców jedynie podporządkowania się formie kultu (chodzenie do zboru, słuchanie kazań i t. p.) natomiast nic go nie obchodzi — a nawet świadomie się od tego odcina — czy dany wyznawca zastosowuje swoją wiarę w życiu. Aleksander Kossowski w pracy „Protestantyzm jako przejaw cywilizacyjny" (część pracy zbiorowej „Cywilizacja i kultura" wyd. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej, Lublin 1937 r.) pisze: „wysnuł Luter t. zw. teorię podwójnej moralności. Inne normy obowiązują każdego człowieka jako chrześcijanina, inne jako członka społeczności świeckiej"... (Str. 248).

Natomiast rygoryzm opiera się na tem, że protestantyzm domaga się wiary — i tylko wiary, nie obchodzi go zaś zupełnie czem ta wiara jest już potencjalnie ugruntowana (kto kocha, ten ufa) protestantyzm stawia warunek suchej wiary i na podstawie jej posiadania zbawia lub w przeciwnym wypadku potępia człowieka.

Jakże dalekie jest to stanowisko od przepięknych słów Św. Pawła, obowiązujących w Kościele Katolickim...

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości nie miał, miedzią jestem dźwięczną i cymbałem brzmiącym. I gdybym miał dar proroctwa i wiedział wszystkie tajemnice, i posiadł wszystką wiedzę, i wziąłbym wszystką wiarę tak iżbym góry przenosił a miłośri nie miał — niczym jestem!" (I Ko. 13, 1—2).

3) Co do wpływów żydowskich na protestantyzm zgadzam się (i zgadzałem) całkowicie z Sz. Autorem artykułu „Drobne nieporozumienie". Podkreśliłem tylko, że p. Pieńkowski nie wykazał dróg, któremi judaizm przesączał się do cesarstwa rzymskiego, przez co popełnił pewien błąd: utożsamił wpływ żydowski z wpływem Starego Testamentu. A to wielka różnica!

4) Przyznaję się ze skruchą, że wziąłem cytatę słów p. Pieńkowskiego z pamięci. Jednakże nie widzę, abym w czem — poza samą formalnością — uchybił myśli Autora. Jeżeli p. Pieńkowski powiada, że germanizm zrodził protestantyzm, a ten protestantyzm począł nagle wykazywać swoje pokrewieństwo z judaizmem, to skąd się to pokrewieństwo wzięło, jeżeli nie z samego germanizmu?

Natomiast inny zupełnie charakter nosi cudzysłów w który ująłem „moralny wzlot" myśli Nietzschego. Dla mnie, może to pogląd b. subiektywny — ale nie jest to ani wzlot ani moralny. Stąd cudzysłów w tym miejscu oznaczał pewną ironię, a wcale nie cytowanie p. Pieńkowskiego. Gdyby mój Wielce Szanowny Przeciwnik, pisząc o nakładzie mojej uczoności, wziął ten ostatni wyraz w cudzysłów, zrozumiałbym to w ten sposób, że ocenia z łagodną pobłażliwością moje staranie polemiczne. I wcale bym się o to nie obraził, bo rzeczywiście nie mam nic wspólnego z uczonością.

5) Że książka Mosdorfa, mimo swoich 445 stronic, jest jednak broszurą polityczną, o to trudno się spierać wobec wyraźnego postawienia sprawy przez jej autora w przedmowie. Dlatego też inne cele miała na oku — zapewne — niż odkrywanie skąd inąd niezmiernie ciekawych syntez historycznych i opierała się na poglądach już dobrze i powszechnie znanych. Czy słusznie? Zapewne, nie zawsze słuszność leży po stronie takiego ujęcia, ale też trzeba przyznać, że czasami i przysłowie *„vox populi — vox Dei"* sprawdza się, zaś pogląd oparty na doświadczeniu i przekonaniu całych pokoleń okazuje się słuszniejszy niż najciekawsze nawet rewizjonistyczne poglądy jednostki.

Lublin JAN DOBRACZYŃSKI

NOWE KSIĄŻKI

Dobaczewska Wanda. Wilno i Wileńszczyzna w latach 1863—1914. Dzieje ruchów społecznych i politycznych. Wilno 1938. Dzien. Urzędowy. Str. 41.

Helsztyński Str. Anglofil Edmund Naganowski Kartka z dziejów anglistyki w Polsce. Kościan 1938. Str 16.

Pawłow I. P. Wykłady o czynnościach mózgu. Warszawa 1938. Rój. Str. 358.

Thompson J. M. Przywódcy Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Warsz. 1938. Rój.

Smolarski Mieczysław. Iskry na szablach. Powieść. Warszawa 1938. Rój. Str. 309.

Krzesiński Andrzej dr. Badania nad kulturą Dalekiego Wschodu. Na tle podróży dokoła świata. Warsz. 1938. Geb. i Wolff. S. 38.

Sprawy Narodowościowe. 1937 nr. 6.

Jeziorowski W. Wielka gra. Dramat rycerski w 3 aktach. Poznań 1938. Księg. Św. Wojciecha.

Bąkowski Stanisław. Drwal i niedźwiedź. (poemat). 1938. Bibl. Kameny.

Lorentowicz Jan. Teatr Polski w Warszawie, 1913-1938. Warsz. 1938. Skład gł. Bibl. Polska. Str. LXXVI i 194.

CHARITAS INTER ARMA

(Z życia Polskiego Czerwonego Krzyża)

NA KONFERENCJI, urządzonej przez Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża dla prasy stołecznej, prezes p. gen. Osiński podniósł jeden z podstawowych warunków zbiorowego bezpieczeństwa w narodzie zorganizowanym na wypadek wojny przyszłości. Oto drobne, prowincjonalne ośrodki miejskie i wiejskie, w rzeczy samej bardziej na okropności wojenne narażone niż wielkie centra stołeczne państwa, nietylko mniejszą rozporządzać będą obronnością ale i silniejszym falom paniki podlegną. Zadaniem nowoczesnego społeczeństwa: tak się zorganizować i przygotować za pokoju, aby w krytycznym momencie uniknąć bezradności i nie dopuścić do klęski. Bo nie wymordowanie wrogich wojsk lub całej ludności stanowi o wygranej napastnika ale w ostatecznym etapie wojny załamanie ducha w społeczeństwie, spowodowane terrorem lotniczym i gazowym, klęską głodu i epidemii. Zresztą już nieraz pierwsza mobilizacja zastaje społeczeństwo niedostatecznie przysposobione lub źle zaopatrzone i wówczas rodzi się zwątpienie i pospolity strach. Polski Czerwony Krzyż usiłuje tym niepożądanym objawom i nastrojom zapobiec, organizując sanitarną, materialną i moralną opiekę ludności czasu pokoju z myślą o nigdy nie wiadomym terminie wybuchu.

Na terenie starszego społeczeństwa rozporządza on armią członków 300-tysięczną, co stosunkowo nie stanowi dużej cyfry. Jako postulat przyszłości narzuca się przymus, obowiązku powszechnej przynależności do P. C. K. i organizacyjnego, automatycznie ściągania owego grosza składki miesięcznej. Wówczas bezpieczeństwo w zakresie obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej wzrosłaby znacznie, wzmogłyby się szanse ludności, przetrwania przewidywanych niebezpieczeństw.

Idea Czerwonego Krzyża święci w tym roku 75-letni jubileusz — początkiem był udział w akcji samarytańskiej w bitwie pod Solferino.

Jednocześnie na polskim terenie działalność tej organizacji dobiega granicy lat 19. Obecny stan posiadania P. C. K. przedstawia się imponująco: ogólny bilans za r. 1937 wyraża się cyfrą 24 milionów złotych, wartość nieruchomości 8 milionów, własnych instytucji na terenie całego państwa prowadzi Polski Czerwony Krzyż 273, kursów sanitarnych 700, przyczem na działalność sanitarno-społeczną wydano milion 455 tysięcy złotych. Dodajmy jeszcze, że ogólna wartość przygotowanego przez P. C. K na potrzeby wojenne sprzętu sanitarnego o wiele przewyższa sumę 20 milionów złotych, a będziemy mieli miarę pracowitego, z groszowych dosłownie składek dorobku tej zasłużonej dla społeczeństwa organizacji.

W zakresie działalności ratowniczo-sanitarnej P.C.K. był pierwszą i do niedawna jedyną instytucją, prowadzącą akcję przygotowania kadr ratowniczej służby zdrowia, dla niesienia pierwszej pomocy sanitarnej ludności, dotkniętej klęską wojny lotniczej i chemicznej. Gdy bowiem w r. 1926 zorganizowano pierwsze kursy instruktorskie z zakresu gazoznastwa i odnośnego ratownictwa,

to już w dwa lata później poczęto szkolić po raz pierwszy odpowiednio w tym celu wyposażone drużyny ratownicze.

W r. 1936 liczba tych drużyn, organizowanych dla potrzeb wojska, ludności cywilnej i przemysłu, stosownie wyszkolonych i wyekwipowanych, przekroczyła już cyfrę tysiąca. Rok 1937 przyniósł dla P.C.K. ustawowe zatwierdzenie roli, jaka tej instytucji przypada w dziele obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej państwa, — oraz konieczne przeorganizowanie drużyn ratowniczych, jako zasadniczych jednostek w planie ogólnym tejże obrony. Zamiast bowiem drużyny z 20-tu ludzi, wprowadzona została 7-o osobowa sekcja rat. san., jako najmniejsza jednostka ratownicza organizacyjna i taktyczna. Również i wyposażenie materiałowe sekcji uległo bardzo znacznym zmianom, w porównaniu z dawnym ekwipunkiem drużyny.

W związku z planową akcją obrony i pomocy ratowniczej na wypadek wojny powstają prace w doświadczalni biologicznej przy szpitalu P.C.K. na ulicy Smolnej w zakresie udoskonalenia metod przetaczania i konserwacji krwi. Pracownia ta istnieje już trzeci rok, na jej terenie dokonano ważnych odkryć w tej dziedzinie. Wykryto metody, przy zastosowaniu których krew pobrana od krwiodawcy, w stanie zdatnym do celów klinicznych może być przechowywana dni 90. Ma to ogromne znaczenie podczas wojny, w nagłych wypadkach w ambulansach na froncie.

Dyr. płk. Gorczyński udziela uprzejmych wyjaśnień w tej materii. Dowiadujemy się, że krew pobrana nawet od kontrolowanego stale, jeśli chodzi o stan zdrowia, krwiodawcy właściwie dopiero po upływie 7 dni daje jaką taką gwarancję, iż wolna jest od zarazków. Tak więc, konserwowana „pewniejsza" jest od zupełnie świeżej. Stały ośrodek krwiodawców przy szpitalu P. C. K. rekrutuje się przeważnie ze studentów medycyny. Młodzi ci chłopcy mają ze swego zawodu stały choć skromny dochód, miarkowany niezbyt dużą, ze względu na ograniczone możliwości regeneracyjne organizmu, częstością i litrażem wydatkowanej krwi. Zawód ten traktują nie wyłącznie komercjalnie ale i jako służbę społeczną, pełnioną ochotnie, nierzadko z poświęceniem, dla niesienia pomocy cierpiącym. Obowiązuje ich pewien rygor osobisty, w którym pilnują się wzajem nader skrupulatnie, — ze względu na dużą odpowiedzialność, związaną z przekazywaniem własnej, stuprocentowo zdrowej krwi — oraz zadowalający stan organizmu, wymagany przy tak intensywnem wydatkowaniu życiodajnego płynu. Ośrodek krwiodawczy, podlegający stałej kontroli lekarskiej, obsługuje 24 szpitale w Warszawie i 2 na prowincji. Ilość krwiodawców wynosi 165 osób, a litraż miesięczny przetaczanej krwi dosięga 13 litrów.

Młodzież czerwonokrzyska liczy 300 tysięcy członków, skupia się w kołach i ośrodkach prowincjonalnych, prowadzi ożywioną działalność społeczną wśród najszerszych warstw ludności. Fundusze jej tworzą się z groszowych (dosłownie) składek miesięcznych. Olbrzymią rolę w organizowaniu kół młodzieży P.C.K. przy szkołach i w prowadzeniu całej roboty odgrywają nauczyciele. Ich przysłowiowa ofiarność i na tem polu święci triumfy. Z pośród tej organizacji 6500 t. zw. opiekunów jest pionierami czystości w kresowem, ciemnem nierzadko społeczeństwie: 80.000 szczoteczek do zębów, rozdanych wśród najuboższych i najbiedniejszych; 2880 szkół ma własne apteczki i t. zw. komplety higieniczne, w które między innemi wchodzą maszynki do strzyżenia zbyt bujnych i „kołtuniastych" czupryn poleskich i podlaskich i t. p.

Pozatem w 450 szkołach znajdują się fryzjernie, obsługiwane własnemi siłami czerwonokrzyskiej młodzieży, której władze organizacyjne współdziałają stale ze szkolną zwierzchnością. Nadto istnieją międzynarodowe kontakty z młodzieżą nawet odległych krain, jak np. z japońską, i wzajemna wymiana albumów oraz lalek kostiumowych. Szereg eksponatów tego rodzaju widzimy w lokalu Zarz. Główn. P.C.K. przy ul. Kredyt. Te stosunki zagraniczne mają oczywiście swoją wagę ze względu na reprezentowanie Polski i jej wartości kulturalnych; wchodzi tu w grę pewien moment propagandowy.

Obecnie P. C. K. przygotowuje swój, wyjątkowo w tym roku uroczysty, tydzień propagandowy, a na 29 maja przekazanie armii 7 samolotów sanitarnych, kompletnie wyposażonych. Oddział stołeczny P.C.K. liczy 50.000 członków.

Na zakończenie przedstawiciele prasy zwiedzili składy P. C. K. przy ul. Skierniewickiej: całe lasy noszy, olbrzymie zapasy gaz-masek, kuchen polowych, apteczek, hełmów stalowych, używanych przez sanitariuszy, kompletów przeciwiperytowych, pakietów sanitarnych (t. zw. „indywidualnych"), przyrządów do odkażania zagazowanych terenów i t. p. Podziwiamy garaże samochodowe, filtry ruchome, przy pomocy których wodę z kałuży przetwarza się w czystą i zdatną do picia — albo taką np. „fabrykę czystości": samochód ciężarowy z pełnym kompletem przyrządów odkażających, z pralnią mechaniczną i natryskownią. Te ogromne nieraz machiny używane są przez kolumny sanitarne, operujące nieraz w różnych zapadłych kątach i na pustynnych nawet terenach.

Podczas ciekawej niezmiernie konferencji i pouczających pokazów dowiedzieliśmy się wiele o twórczym wysiłku dla społeczeństwa organizacji, której celowości i potrzeby istnienia nikt nie jest w możności zaprzeczyć.

St. J.

NA MARGINESIE

Z aforyzmów Feliksa Chwaliboga

Żydzi tylko temu zawdzięczają dzisiejsze stanowisko w świecie, że się nie ulękli gromów Mojżesza i zawsze wiernie czcili złotego cielca.

*

Cywilizacja zaczęła się od chwili, gdy człowiek mógł zacząć oszczędzać.

*

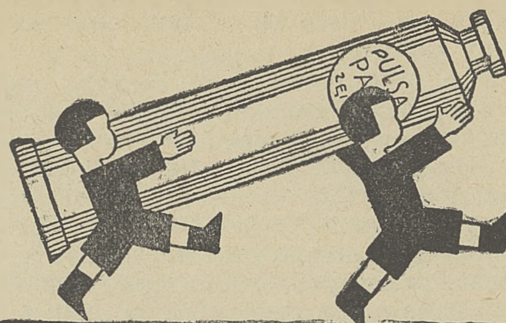
Zniesienie własności prywatnej jest humbugiem, polegającym na przelaniu jej w ręce ludzi, do których należy władza.

*

Pisać nieszczerze, to jakby fałszować własny testament, zapisując przedmioty, których się nie posiada.

*

Odważny tylko ten, kto się boi, a przecież niebezpieczeństwa nie unika.





TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie **Nr.** 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.